

Projekt POKL04.01.01-00-029/09 „Dostosowanie modelu kształcenia studentów filologii polskiej do wyzwań współczesnego rynku pracy (ze szczególnym uwzględnieniem rozwoju kompetencji informatycznych oraz informacyjno-medialnych)”

---

Stanisław Urbańczyk

*Słowniki i encyklopedie. Ich rodzaje i użyteczność*

(Kraków 2000, s. 9–66)

---

## **NIECO O SŁOWNIKU, ENCYKLOPEDI I LEKSYKONIE**

Ks. Benedykt Chmielowski w swojej księdze pt. *Nowe Ateny, albo akademia wszelkiej scyjencji pełna* nie objaśniał, co to jest „koń”, lecz zamieścił jego obrazek wraz z paroma słowami: *Jaki jest koń, każdy widzi*. Podobnie można by nie objaśniać, co to jest słownik, licząc na to, że każdy z czytelników tej książeczki już jakiś słownik widział. Ale ze słownikami nie mają się rzeczy tak prosto, jak z koniem; między innymi, dlatego właśnie powstała niniejsza publikacja. Wielka encyklopedia powszechna PWN poucza pod hasłem „Słownik”, że się rozróżnia słowniki językowe i rzeczowe, czyli encyklopedyczne, tj. leksykony; jak mówi, słownik nazywano kiedyś dykcjonarzem (dodajmy: także wokabularzem, tezaurusem). Rozróżnienie słownika „językowego” od „rzeczowego” jest bardzo istotne, i o tym parę zdań.

Słownikowi „językowemu” można przypisać objaśnienie, jakie wyrazowi „słownik” przypisał *Słownik języka polskiego* (pod red. Witolda Doroszewskiego): „zbiór wyrazów ułożonych według pewnej zasady (najczęściej alfabetycznie), objaśnianych pod względem znaczeniowym, często zilustrowanym przykładami użycia”. Słownik taki daje wskazówki, jak się powinno posługiwać danym wyrazem, jeśli budujemy jakiś tekst (mówiony lub pisany), ale także, jak mamy rozumieć wyraz, jeżeli go napotkamy w cudzym tekście, a jeszcześmy się z takim wyrazem nie spotkali. Najprostszą wskazówką jest podanie synonimu, czyli innego wyrazu o takim samym lub zbliżonym znaczeniu; może to być nawet synonim z obcego, bardzo znanego języka. Wskazówką może być definicja lub opis nazywanego przedmiotu; może też być obrazek. Sporządzenie tych wskazó-

wek, nawet najprostszyc, nie jest wcale łatwe; można się potknąć. Np. wymieniony wyżej *Słownik języka polskiego* twierdzi, że dykcjonarz to „zbiór, spis wyrazów opatrzonych definicjami; słownik, leksykon”. Nie odpowiada to rzeczywistości: definicje wcale w dykcjonarzach nie były konieczne.

Także podana na początku ustępu definicja słownika nie jest ścisła; są przecież słowniki, w których się znaczenia nie podaje, jak słowniki ortograficzne lub słowniki wymowy wyrazów; w słownikach etymologicznych podaje się znaczenia, ale jako coś pomocniczego, a w wielu wypadkach może ich nie być. I odwrotnie, są alfabetycznie uporządkowane wyrazy, których nie nazywamy słownikami, lecz indeksami; są one zupełnie pozbawione znaczeń, informują zwykle, na jakiej stronie danej książki można znaleźć wyraz. Słowniki imion własnych nie mogą nawet podawać znaczeń, bo imiona własne ich nie mają. Cóż dopiero mówić o „słowniku” obrazkowym! O takich subtelnosciach i kłopotach zazwyczaj nie pamiętamy i mówiąc o słowniku myślimy po prostu o książce, w której znajdziemy zbiór wyrazów jakoś uporządkowany, najczęściej alfabetycznie; na drugim planie znajduje się jakieś specyfikujące określenie: etymologiczny, odwrócony, ortograficzny itd.

Łatwiej jest powiedzieć, co to jest słownik „rzeczowy”, zwany też encyklopedycznym, lub encyklopedią. *Słownik języka polskiego* tak objaśnia wyraz „encyklopedia”: „wydawnictwo naukowe będące systematycznym zbiorem (ułożonym alfabetycznie lub według zagadnień) wiadomości ze wszystkich dziedzin wiedzy albo z jednej gałęzi wiedzy”. Z tej definicji nie wynika jasno, w jaki sposób wiadomości mogą być ułożone alfabetycznie, tzn. że dzieje się to za pomocą wyrazów — haseł. Wiadomości o telewizorze będą więc pod wyrazem „telewizor”, a o pszenicy pod hasłem wyrazowym „pszenica” itp.; ale co to jest „przypadek” może być wyjaśnione np. pod hasłem „kategorie gramatyczne”. Istotną cechą encyklopedii jest właśnie podanie mniej lub więcej szczegółowych wiadomości o bu-

dowie telewizora i o głównych cechach pszenicy, o jej miejscu w systematyce botanicznej; w słowniku „językowym” takie wiadomości nie są potrzebne. W encyklopediach — inaczej niż w słowniku — nie podaje się przykładów, ilustrujących znaczenie objaśnianego hasła, ani też informacji gramatycznych.

Dla autorów encyklopedii jest sprawą bardzo ważną znalezienie odpowiedniego hasła, aby czytelnik poszukujący informacji łatwo się domyślił, pod jakim hasłem winien jej szukać, nie zawsze bowiem mają się rzeczy tak prosto, jak w wypadku telewizora i pszenicy. Bywa tak, jak z książką telefoniczną: szukam telefonów praktykujących lekarzy, tymczasem nie ma hasła „Lekarze”; znajduję ich pod hasłem „Gabinety lekarskie”. Chociaż istnieje w nim hasło „Instytuty”, większość instytutów umieszczono pod hasłem „Polska Akademia Nauk” lub pod nazwami szkół wyższych.

Jeżeli encyklopedia jest ułożona według zagadnień, nie są potrzebne hasła, ale wtedy podaje się na końcu czy na początku indeksy wyrazów, zwykle fachowych terminów, które na takich to a takich stronach zostały objaśnione. Jeśli nie sporządza się indeksu, to przynajmniej podaje się szczegółowy plan encyklopedii.

*Leksykon* jest dziś nazwą mało używaną. *Słownik języka polskiego* tak o nim informuje: „słownik, w szczególności zawierający wiadomości encyklopedyczne”. Ten jednak wyraz wywodzący się z greckiego *leksis* ‘mowa’, choć dość rzadki, posłużył za podstawę sporej rodziny słów: *leksyka*, *leksykalizacja*, *leksykalizować się*, *leksykalnie*, *leksykalny*, *leksykograf*, *leksykografia*, *leksykograficzny*, *leksykolog*, *leksykologia*, *leksykologiczny*, *leksykonowo*. Wszystkie te wyrazy nie wiążą się jednak z leksykonami-encyklopediami, lecz ze słownikami „językowymi”, choć istotnie dziś leksykonem nazywamy encyklopedie.

## I. SŁOWNIKI

Słownik to cierpliwy i nieznudzony doradca, towarzysz kształcenia się i kulturalnego życia, kulturalnego obcowania z jakimkolwiek językiem, tak obcym, jak bodaj w większym stopniu własnym, z literaturą piękną i naukową. Wplata się on w nasze życie bardzo wcześnie. Gdy 12-letni malec rozpoczyna w szkole podstawowej obowiązkową naukę obcego języka, słownik wchodzi w skład jego podręcznej biblioteczki i pozostaje w niej, a przynajmniej powinien pozostać do końca życia właściciela. Wraz z nim rośnie i „mądrzeje”. Najpierw są to „słówka”, podane na końcu podręcznika. Mały człowiek zagląda do nich, ile razy trafi na jakieś słowo jeszcze mu niezrozumiałe. Z każdym rokiem, w miarę jak dziecko zdobywa wiedzę, rośnie i słowniczek, a wreszcie nadchodzi czas, że się trzeba oderwać od słówek na końcu czytanki, a sięgnąć po osobny, prawdziwy słownik. Jest to jakby wkroczenie w dojrzały wiek słownika. Nosi on wprawdzie zwykle skromny dopisek „słownik kieszonkowy”, ale w rzeczywistości to pękaty tom.

Gdy jeden słownik podaje tylko skromny wybór niezbędnych słów, drugi szafuje nimi pełną garścią a nadto pod każdym wyrazem, czyli hasłem, podaje połączenia tego wyrazu z innymi, zwłaszcza jeżeli te połączenia zmieniają podstawowe znaczenie wyrazu. Nie wystarczy więc w słowniku rosyjsko-polskim napisać krótko *orzech* — *orzech*, lecz trzeba dodać, że „greckie” orzechy — to po polsku „włoskie”, a „dostało mu się na orzechy” — to po polsku „dostało mu się po karku”. Podobnie polski *orzech* — to niemieckie *Nuss*, ale „orzech laskowy” — to *Haselnuss*. Każdy wie, że polskie *nad* — to i rosyjskie *nad*, ale przecież „miasto *nad Wisłą*” będzie po rosyjsku „*gorod na Wisle*”. Od obfitości i trafności tego



rodzaju osobliwych połączeń zależy wartość i objętość słownika. Niestety, ta pożądana pełnia pociąga za sobą bardzo niepożądane skutki uboczne: wysoką cenę słownika, ciężar i trudności z wynalezieniem wśród gąszczy tego, co nam właśnie potrzebne. Potrzebny jest złoty środek: taka ilość informacji, aby się czytelnik w nich nie gubił i aby nie musiał za nie płacić zbyt dużo. Kupując słownik należy wziąć również pod rozwagę te właściwości słownika. Inna rzecz, że tylko przy niektórych językach mamy podobne zmartwienia z wyborem. Daleko bowiem częściej się zdarza, że do pewnych języków w ogóle słownika nie ma, albo jest tylko jeden i trzeba się nim zadowolić bez względu na jego wady.

Obfitość słowników jest zależna w wysokim stopniu od kulturalnego poziomu danego narodu, od żywości jego stosunków z zagranicą, a w wielkim stopniu także od jego liczebności i zamożności. Stosunki z zagranicą stwarzają potrzebę słownika, zamożność umożliwia mieszkańcom jego opracowanie, wydanie, a potem nabycie. W trudnej sytuacji są narody małe, tzn. mało liczebne, bo słownik ma tam z natury ograniczony zbyt, wydawcy więc niechętnie się podejmują druku, ponieważ niski nakład podraża cenę. Zdarza się zatem nieraz, że mniejsze narody korzystają ze słowników swoich sąsiadów. Tak np. w Polsce częsta dawniej znajomość języka niemieckiego sprawiła, że Polacy posługiwali się na przykład słownikiem niemiecko-portugalskim, skoro wydanie osobnego słownika polsko-portugalskiego nie było potrzebne wobec słabych stosunków polsko-portugalskich. Do specjalnie odległych języków będziemy mieć może tylko słowniki z językiem angielskim albo rosyjskim (zwłaszcza dla języków Kaukazu czy Syberii). Taki stan rzeczy ułatwia i tak już dobrą pozycję wielkich języków: dzieła w ich języku wydane mogą liczyć na duży zbyt nie tylko we własnym ich kraju, ale również wśród cudzoziemców.

Słowniki dwujęzyczne, o których dotąd była mowa<sup>1</sup>, nie są jedynym rodzajem słowników, ani też nie są rodzajem najważniej-

szym. Świat słowników jest gęsto „zaludniony”, i to bardzo różnymi odmianami mieszkańców. Orientacja w nich przydatna jest każdemu, a zwłaszcza samoukom, którzy na własną rękę muszą zdobywać wiadomości o potrzebnych im pomocach naukowych. Świat ten ma swoją historię, długą i skomplikowaną, jak zresztą większość wytworów kulturalnych. Właśnie historią chciałbym poprzeździć opis „słownikowego świata”.

Słowniki, pisane pismem klinowym na glinianych tabliczkach, spotykamy już w 2. tysiącleciu przed Chrystusem, a więc rozwój słowników jest prawie tak stary, jak rozwój cywilizowanego świata. Nasze jednak słowniki łączą się w jeden łańcuch rozwojowy ze słownikami łacińskimi, a przez nie z greckimi<sup>2</sup>. W Grecji słownictwo osiągnęło wysoki poziom, lecz naturalnie doszło do tego powoli i stopniowo. Jedną z przyczyn jego powstania było rozmilowanie się Greków w poematach Homera, *Iliadzie* i *Odysei*. Już wtedy, gdy je utrwalono na piśmie (przedtem podawano je z ust do ust), w w. VI przed Chrystusem, wiele ze słów w tych poematach było niezrozumiałych, ponieważ zaś od lektury tych epopoi rozpoczynano kształcenie młodzieży, nie można się było obejść bez objaśnienia całej litanii wyrazów. Objaśnienia te, zwane wówczas glosami, czyli jakby się dziś powiedziało „słówkami”, zapisywano bądź na marginesach książki, bądź między rządkami pisma, bądź też je zbierano osobno, tworząc pierwociny słowników. Może się komuś wydać rzeczą dziwną, że słowniki powstały w tym celu, a nie dla nauki obcego języka i porozumienia się z cudzoziemcami, trzeba jednak pamiętać, że Grecy żywili wielką pogardę dla cudzoziemców, więc chęć nauczenia się obcego języka nie byłaby w ich stosunkach dostatecznie silną pobudką do stworzenia rzeczy bezsprzecznie trudnej, jaką jest słownik. Śladem tej pogardy jest wyraz „barbarzyńca”, którym Grecy oznaczali cudzoziemców, a my człowieka prymitywnego, nie obeznanego z kulturalnym dorobkiem ludzkości. W szkołach tedy greckich i pracowniach ich uczo-

nych powstały słowniki, kiedy zaś kultura grecka rozlała się szeroko po krajach rozmieszczonych nad brzegami Morza Śródziemnego, kiedy obcy zaczęli się uczyć po grecku i czytywać greckie książki, słowniki nabrały jeszcze większego znaczenia. Rosła ich liczba, rozmiary, powstawały nowe rodzaje, do różnych potrzeb dostosowane.

Rzymianie, którzy się stali pośrednikami między kulturą grecką a nami, również poświęcali słownikom wiele uwagi. Dla nich były słowniki potrzebne tak do czytania uwielbianej przez nich literatury greckiej, jak i starszej własnej. Niejeden ze słowników antycznych mógłby nam nawet dziś zaimponować, niestety ani greckie, ani rzymskie słowniki nie dochowały się do naszych czasów. Mamy o nich tylko wiadomości albo znamy fragmenty. Wojny i najazdy barbarzyńców zniszczyły państwo rzymskie i obniżyły poziom kulturalny ludzkości. Obniżyły się wymagania stawiane słownikom. Dawne duże i porządnie opracowane nie wydawały się potrzebnymi, w dodatku zaś ich przepisywanie wymagało zbyt wielkiego wysiłku, a koszt materiałów pisarskich (papier lub pergamin były wówczas bardzo drogie) pogarszał sytuację. Poprzestawano więc na mniejszych, skąpych, często nieszczególnie zestawionych słowniczkach. Co więcej, najbardziej interesującą i godną poznania książką stał się utwór Rzymianom i Grekom nie znany, a przynajmniej przez nich pogardzany, oczywiście też nie zaopatrzone w słowniki, mianowicie Biblia; natomiast w oczach średniowiecznej Europy to właśnie była jedyna książka najbardziej godna poznania, książka natchniona przez Boga. Zadaniem słowników, które należało specjalnie przygotować, było więc dopomóc do zrozumienia Biblii tym, co do jej poznania byli obowiązani, to jest duchownym i kandydatom do stanu duchownego.

W słownikach ówczesnych podawano zasadniczo objaśnienia trudnych, tzn. mało używanych wyrazów, podawano je zaś w języku łacińskim, jako jedynym języku naukowym i godnym pisma. Tylko

jako rzecz drugorzędną dopisywano w nich między wierszami lub na marginesach wyrazy z języka pospółstwa (*lingua vulgaris*), tzn. celtyckie, anglosaskie, niemieckie, czeskie itd. Wpisywano te słówka także w tekście, skąd je potem przenoszono do osobnych słowniczków. Układano je tam zwykle w tym samym porządku, jak szły po sobie w samym tekście, a więc np. w *Nowym Testamencie* najpierw do ewangelii św. Mateusza, potem św. Marka, Łukasza i Jana. Tak właśnie ułożone słowniczki do *Biblii* nosiły nazwę mamotrektów (lub mamotreptów), czyli słowniczków dla początkujących (dosłownie „piersią karmionych”).

Słowniczki średniowieczne są ważnym źródłem do poznania słownictwa różnych języków europejskich w ich najwcześniejszym okresie. Odegrały też w ich rozwoju ważną rolę. Starano się bowiem nagiąć język ludowy do łaciny: wyszukiwano stosowne słowa, a gdy ich zabrakło, zapożyczano z innego języka lub tworzono sztucznie nowe. W ten sposób bogacił się język ludowy i przygotowywał do godności języka literackiego, z czasem bowiem zaczęto pisać nie tylko po łacinie, ale także w pogardzanych językach ludowych (po polsku od XIV w.). Słowniki stworzone w jednym miejscu rozchodziły się szeroko w ówczesnym kulturalnym świecie. Tak np. koło roku 600 powstał w Hiszpanii wielki słownik zwany *Liber glossarum*, czyli księga słów, zasługujący raczej na miano encyklopedii. Było to dzieło duże, a więc kosztowne, dlatego zaczęto je skracać i przepisywać w wyciągach. Z czasem o nim zapomniano, lecz powstały już liczne nowe zbiory, na tamtym się opierające. Po wielkich bibliotekach niemało jest średniowiecznych rękopiśmiennych słowników, większych i mniejszych, lepszych i gorszych, pod tytułami: granariusz, rozariusz, wokabularz *Ex quo*, wokabularz *Breviloquus* itd., które nic już nikomu poza specjalistami nie mówią. Oprócz słowników z wyrazami „literackimi”, tzn. używanymi w poezji, filozofii, teologii itp., istniały także specjalne słowniki techniczne, zbierające słowa odnoszące się do rzemiosła, narzędzi



i gospodarstwa domowego. Przeważnie nie układano ich w porządku alfabetycznym, ale rzeczowym, według związku znaczeniowego (osobno nazwy zwierząt, osobno roślin itp.). Jeszcze bardziej to może dziwić, że pisywano je także wierszem. Nie szło jednak w tym wypadku o przypodobanie się, lecz o łatwiejsze zapamiętanie, wszak wie to każdy z własnego doświadczenia, że łatwiej się nauczyć i przechowywać w pamięci wiersz niż prozę.

Wszystkie rodzaje słowników dotarły z czasem do Polski<sup>3</sup>. Przepisywano obce wzory dodając polskie wyrazy. Z XV wieku dochowało się ich sporo. Oczywiście jest to tylko drobna część tego, co istniało w rzeczywistości. Wartości praktycznej nie mają dziś żadnej, ale służą do poznania polskiego języka w XV wieku, równocześnie zaś wystawiają świadectwo ruchowi naukowemu i zainteresowaniom owych czasów. Przez porównanie z nimi lepiej rozumiemy stan współczesny i lepiej się możemy zorientować w odbytym przez pięć wieków postępie. Z tych powodów omówię bliżej kilka najbardziej charakterystycznych polskich słowników albo — jak się nieraz mówi — wokabularzy (z łac. *vocabulum* — słowo, nazwa).

Jeden ze słowniczków ma osobliwą historię. Ułożony został przez jakiegoś księdza-prawnika, zapewne sekretarza Aleksandra, syna księcia płockiego Siemowita i Aleksandry, znanych nam z *Krzyżaków*. Zachował się w archiwum kapituły katedralnej w Trydencie, gdzie wspomniany Aleksander był biskupem w latach 1424–1444. Odszukano go krótko przed 1960 r.; zawiera on około 500 wyrazów łacińskich, przy których odnotowano ich polskie odpowiedniki. Najczęściej są to wyrazy dotyczące prawa i administracji, wojskowości i chorób. Jest to nasz najstarszy słownik łacińsko-polski<sup>4</sup>. W pewnym rękopisie (nr 228) Biblioteki Jagiellońskiej mamy ich od razu kilka. Najpierw idzie słownik łaciński, tzw. *Lucjanus*, z trzydziestu paru polskimi odpowiednikami, potem na 40 stronach mieści się słownik znany jako *Vocabulista* Bertolda z Eisenach, zbiór rzadszych, technicznych wyrazów łacińskich uło-

zonych wierszem. I tutaj przepisujący Polak wciągnął kilka polskich wyrazów, jak: *alnus olsza*, *boletus grzyb*, *sura łyst* (łydka), *colus ką-dziel*. Z boku na marginesie umieścił spory alfabetyczny słowniczek łacińsko-polski, a pod nim w nieładzie różne wyrazy. Podobnych przykładów pomieszania w jednym rękopisie różnych słowniczków mamy więcej.

W pewnym słowniczku (z r. 1455) natrafiamy na rzadką u nas sztuczkę techniczną, mianowicie część obejmująca trudniejsze wyrazy układa je w pary rymowane: *favilla pyrzyna*, *annonna jarzyna*, *pedica spar*, *gvera swar*, *certamen tłoka*, *mansus włoka*. Taki układ wyrazów ułatwiał w szkole zapamiętanie „słówek”. Posługiwano się tym środkiem bardzo długo. W każdym razie jeszcze w połowie XVI w. Gliczner wspomina o nim w swojej książeczce *Książki o wychowaniu dzieci bardzo dobre...* (1558). Jeszcze na początku naszego wieku używano w zniemczonych szkołach na Śląsku podobnych par, np. *koza Ziege*, *mucha Fliege* itd. Słowniki wierszowane składały się z wierszy ułożonych nie w dzisiejszy sposób, lecz łaciński, tzn. pisano je heksametrem. W innych językach są one dość pospolite, ale u nas należały chyba do rzadkości, skoro nie zachował się ani jeden większy okaz. Mamy tylko kilka luźnych wierszy, jakby urywki większych całości. Oto próbki (samogłoski zaopatrzone kreseczką ukośną należy wymawiać głośniejsz niż oznaczone łuczkiem): *módĭo- | lús piäs | tá, řăďĭ | ús stpică, | ést zwono | cántus*. Wszystko to są części koła. Inne próbki: *ést äquĭ | ló poł | nóc, au | stérque po | túdnie; ést trĭbŭl | á ce | pý tribu | lús o | sét, tribu | lúm quoque | wiércioch*. Wyżej kulturalnie stojące Czechy zdobyły się już w drugiej połowie XIV w. na dłuższe „poematy” słownikowe. Najsławniejszym autorem był Bartłomiej z Chlumca, zwany Klaretem. Spod jego pióra wyszło kilka tysięcy wierszy heksametrowych.

Dochowało się też kilka mamotrektów, czyli owych słowniczków dla początkujących. Podają one polskie odpowiedniki wybranych łacińskich wyrazów, ułatwiające posiadaczom czytanie i rozu-

mienie *Pisma św.* Są one jednak tak przepelnione błędami, że pożytek z nich nie mógł chyba być wielki, a w dodatku objaśnia się nieraz zupełnie pospolite wyrazy. Przypomina to szkolne notatki słabych uczniów, gdzie pominięto wiadomości istotnie ważne, a zapisano błahostki. Podobno już w połowie XV w. starano się o ich poprawienie, jakoby nawet krakowscy profesorowie skontrolowali jeden z nich, ale pozostawiono tam tyle okropnych błędów, że trudno w tę „poprawę” uwierzyć<sup>5</sup>. Błędów nie brak i w słownikach innych rodzajów, tak w wyrazach łacińskich, jak polskich.

Dość rychło po rozpowszechnieniu się wynalazku druku zaczęto słowniki drukować<sup>6</sup>. W Polsce pierwszy słownik, opracowany przez Franciszka Mymera (rodem ze Lwówka na Śląsku), ukazał się w r. 1528 (następne w r. 1541, 1592). Inny słownik łacińsko-polski, oparty na dziele niemieckiego humanisty, Jana Murmeliusza, opuścił prasę też w r. 1528<sup>7</sup>; szybko szły po sobie wydania następne: w r. 1533, 1540, 1541, 1546, 1550, 1555, 1564, 1566, 1623, 1626<sup>8</sup>. Równocześnie się ukazywały słowniki innych autorów: Jana Tucholczyka<sup>9</sup> (prawniczy) w latach 1531, 1535, 1539, 1540, 1542, 1546, 1558, 1607. W r. 1532 wyszedł słownik łacińsko-włosko-polsko-niemiecki, przedrukowany potem w r. 1566. I na nich zresztą nie wyczerpuje się lista słowników w Polsce drukowanych, a ponieważ w obiegu były też słowniki zagraniczne, widzimy jasno, jak żywe było wówczas zainteresowanie obcymi językami i pęd do kształcenia się. Druki polskie nie były dziełami oryginalnymi. Wzory powstały za granicą, a polski druk dodawał jedynie polskie odpowiedniki. W ten sposób małały koszty wydawcy, uwzględnienie zaś kilku języków ułatwiało sprzedaż w kilku krajach.

Prawie wszystkie różniły się od dzisiejszych układem wyrazów. Dziś jest on wyłącznie alfabetyczny, większość zaś z tamtych miała porządek rzeczowy. Słownik Murmeliusza tak tytułuje swoje rozdziały: O Bodze i rzeczach niebieskich, O czasiech, O żywielech i o tych rzeczach, które się na powietrzu rodzą, O kwieciu, O wo-

niących ziołach, O rozmaitych rodzajach pokarmu... Naśladuje w tym słowniki zagraniczne, przede wszystkim czeskie. Szczególną wagę przywiązywano do słowników nazw roślinnych, bo rośliny były w owych czasach głównym dostawcą lekarstw. Włączano do nich także nazwy pewnych zwierząt i minerałów, jeżeli interesowały medycynę. Wśród słowników rękopiśmiennych, które się do naszych czasów dochowały, na szczególną uwagę zasługuje słownik śląskiego Polaka, Jana Stanki, który był na owe czasy zjawiskiem wielkiej miary, przewyższając rozległością wiedzy wszystkich poprzedników. Zawiera to dziełko nazwy 523 roślin i 219 zwierząt, podczas gdy nawet bogate słowniki, drukowane koło połowy XVI w., zadowalały się znacznie mniejszą ich ilością. Świadczy więc Stanko o tym, że kultura polska już doganiała, a nawet tu i ówdzie przeganiała kulturę narodów zachodnioeuropejskich.

Całkiem jeszcze do średniowiecza należy rękopiśmienny *Słownik łacińsko-polski* Bartłomieja z Bydgoszczy (1532). Wyzyskał on pilnie starsze słowniki, częściowo je skorygował i dopełnił, toteż jego zbiór zawiera wiele wyrazów, i na tym polega główna zasługa autora. Jeszcze większą liczbę polskich wyrazów wpisał Bartłomiej z Bydgoszczy na karty pewnego inkunabułu, wokabularza Jana Reuchlina. Pierwszy zbiór został wydany w r. 1900, drugi do ostatnich lat (1972) pozostawał niedostrzeżony w rękopisie<sup>10</sup>.

Króciutko tu omówione słowniki średniowieczne przygotowywały grunt dla wielkich i doskonałych słowników epoki Odrodzenia. Wynalazek druku ogromnie ułatwił ich rozwój, dotąd bowiem trud włożony w przepisanie słownika był niezmierny. Wysilek wielu miesięcy dawał w rezultacie tylko jeden egzemplarz, gdy tymczasem teraz można było wypuszczać spod prasy nieograniczoną ilość egzemplarzy, co znacznie obniżało ich cenę. Równocześnie dorobek i pomysłowość jednostki docierały daleko, przykład pociągał naśladowców, zachęcał do udoskonaleń. Toteż w przodujących krajach Europy pojawiały się słowniki coraz więk-



sze i coraz lepsze. Można powiedzieć, że się wysadzano na coraz wymyślniejsze okazy. Pojawiły się słowniki olbrzymy, które trudno udźwignąć. Obok wyrazów łacińskich podawano też znaczenia w kilku językach, a nawet pojawił się słownik jedenastu języków. Sławny słownik Ambrożego Calepinusa (od 1502 r. wiele wydań) podawał po hasle łacińskim odpowiednik grecki, hebrajski, francuski, włoski, niemiecki, flamandzki, hiszpański, polski (w wydaniu z r. 1574 i kilku innych)<sup>11</sup>, węgierski i angielski. Słownik ten był tak popularny, że imię autora stało się wyrazem pospolitym: „kalepinem” nazywano po prostu duży słownik.

Polska nie porywała się na tak potężne przedsięwzięcia; wprawdzie wspomniałem wyżej o słowniku czterojęzycznym, był on jednak pomimo to skromnych rozmiarów (ok. 170 stron). Ale cudze osiągnięcia obserwowano bacznie i myślano o własnych teraz już na większą skalę. Wreszcie w r. 1564 pojawił się słownik łacińsko-polski Jana Mączyńskiego, oparty na najlepszych ówczesnych wzorach, na słownikach renesansowych (Dasypodiusza, Fryzjusza, Estienne’a), przewyższających jakością średniowieczne<sup>12</sup>. Miał Mączyński okazję poznać nowe słowniki, a nawet ich autorów podczas wieloletniej podróży zagranicznej (1543–1551). Część polsko-łacińska, choć zamierzona, nigdy się nie ukazała ku wielkiemu żalowi historyków polskiego języka. Dziś bowiem dzieło Mączyńskiego nie jest nam potrzebne przy nauce języka łacińskiego — wszak mamy lepsze, nowoczesne słowniki — ale jest za to niesłychanie cennym informatorem o ówczesnym stanie słownictwa polskiego i ówczesnym znaczeniu naszych wyrazów. Tymczasem polskie wyrazy są zagubione pod hasłami łacińskimi i zanim się jakieś polskie słowo znajdzie, trzeba się domyślić, pod jakim łacińskim hasłem może być zamieszczone. Jest to oczywiście bardzo trudny sposób postępowania, a przy tym nie ma gwarancji, czy polski wyraz nie jest ukryty w jakimś miejscu nieoczekiwanym. Nic więc dziwnego, że w latach międzywojennych podjęto nawet przy-

gotowania do wydania części polsko-łacińskiej, oczywiście nie na podstawie oryginalnego rękopisu. Na pozór trzeba było po prostu rozpisać na kartki część łacińsko-polską, stawiając wyraz polski na pierwsze miejsce, z kolei wystarczyłoby te kartki ułożyć według alfabetu. W rzeczywistości byłoby to z różnych powodów przedsięwzięcie bardzo trudne, a może i niewykonalne, toteż ostatecznie obrano inną drogę: ograniczono się do wynotowania wszystkich polskich wyrazów i oznaczenia miejsc ich występowania. Pod kierunkiem W. Kuraszkiewicza stworzono indeks polskich wyrazów zawartych w słowniku Mączyńskiego<sup>13</sup>. Pozostaje sobie jeszcze życzyć, aby się zrealizował projekt fotograficznego przedruku samego słownika, który był wprawdzie wydany w nakładzie z górą 500 egzemplarzy, ale dochował się tylko w dwudziestu dwóch, a więc jest trudno dostępny<sup>14</sup>.

Słownik Mączyńskiego to w przeciwieństwie do starszych polskich słowników okazała księga, licząca ponad 1000 stron. Jest on w zasadzie alfabetyczny, ale przecież niezupełnie w dzisiejszy sposób. Alfabet obowiązuje mianowicie tylko słowa podstawowe. Po wyrazie podstawowym zaraz stoją jego pochodne już we własnym porządku alfabetycznym. Tak np. po czasowniku *venio* — przychodzę, następują wyrazy: *ventio* (przyjście), *vento* (ustawicznie przychodzić), *advenio*, *advento*, *convenio*, *evenio*, *circumvenio* itd., po ich dopiero wyczerpaniu wraca autor do alfabetu, przytaczając wyraz *venor* — poluję. Pod hasłem *capesso* ciągnie się przez dwie strony łańcuch wyrazów pochodnych, a wśród nich wyraz *decipula* (łapka na myszy), *intercipio* (przerywam) itd. Taki system ma jak zwykle pewne dobre, ale i złe strony: nie zawsze łatwo się domyślić, pod jakim rdzeniem można znaleźć wyraz przedrostkowy, a posługiwanie się odsyłaczami zabiera czas. Takie słowniki nazywamy „gniazdowymi”. Innym mankamentem słownika jest strona techniczna. Ortografia jego była już naówczas przestarzała, trochę z winy drukarni, do tak trudnego składu nie przygotowanej, trochę

z winy korektora i redaktora, czcionki mają krój czasem niewyraźny, ulegały przy tym uszkodzeniom przy odbijaniu tekstu, skutkiem czego musiano je wymieniać w czasie druku. Słownictwo Mączyńskiego, ujęte w postaci indeksu, a więc wyrwane z naturalnych związków, z całych zwrotów, których autor nie skąpi, robi wrażenie dość martwe. Jakże to inaczej wygląda w oryginale: „*Synthesis...* krótkie odzienie niewolnicze z grubego sukniaka uczynione, gunią może być zwano” 437 b. „*Idea* — pochop, początek kształtu albo formy, albo wyrażenia jakiego” 164 b. „*Cosmeta* — smukarz, który panie przychędoża, piękroszka” 66 d. „*Foenile* — bróg albo stodoła, gdzie siano składano, siennica może być zwana” 133 a. „*Dispeream* — Bóg daj, bych zdechł” 232 b. „*Pellicator* — wyłudzacz, przerzucinożka też zową, to jest ten, który umie ludzie przez nogę przerzucać, to jest zdradzać” 182 b. „*Farrago* — sieczka albo insza bydłęca karma z rozmaitych ziarn zmieszana, jako jest z plew, z sieczki, wyki, otrąb, owsa, zgonin...” 118 a. „*Elegia* — miłosierna a smutna piosnka albo wiersze” 101 b. „*Essedum...* niejaka forma wozowa, kara, kolimaga, jako niektórzy zową” 108 c. „*Mugio...* ryczeć, bękać jako byk” 235 b. „*Ergastulum...* szybę zową w Wielicce albo w Bochni, gdzie sól kopają” 107 c.

Sporo jest w tym dziele przysłów: „Každy ma swego mola, co go gryzie” 207 b. „Krom piwa i chleba nie stroi firlejów baba” 137 a. „Głuchy rychlej się z głuchym zmówi” 23 a. Sporo dosadnych wyrażeń: „Cudny, ale głupi” 37 b. „Plwać w kaszę” 357 a. „Piszczą mi zęby na to”, tzn. mam na to wielką ochotę 145 a. „Ad calendas Graecas — na święty Bóg wiedz, nie mogli sie dalej odwlec, niektórzy mówią: kiedy kije zakstą (‘zakwitną’), to jest nigdy” 148 a. Obfitość całych zwrotów i zdań płynie stąd, że Mączyński tłumaczył nie tylko pojedyncze łacińskie wyrazy, jak praktykowano dawniej, lecz również całe połączenia wyrazów, swoiste ich zestawienia, wymagające też swoistego, nie zaś dosłownego przekładu.

W historii polskiej kultury jeszcze z jednego powodu ten słownik zasługuje na uwagę: oto ukazał się w Królewcu w Prusiech Książęcych (Wschodnich), jak się mówiło dawniej. Świadczy on wraz z licznymi innymi polskimi drukami o tym, jak mocno były wówczas te Prusy, rządzone przez książąt z niemieckiego rodu, przesiąknięte polską kulturą. Do pokrycia kosztów druku przyczynił się książę Albrecht Pruski, ten sam, co składał hołd Zygmuntowi Staremu (swojemu wujowi) na krakowskim rynku. Dopiero wiek XVII i XVIII, wieki obniżenia się polskiej kultury i siły militarnej wydały ten kraj na germanizację, choć bez wielkich zachodów mógł być całkowicie spolonizowany.

Warto wspomnieć, że słownik Mączyńskiego przynosi we wstępie pochwalne — dziś powiedzielibyśmy: reklamowe — wiersze kilku poetów ówczesnych, w tym dwa wiersze przyjaciela autora, Jana Kochanowskiego. Tak brzmi jeden z nich:

Żebyś do szkoły nie po wszystko chodził,  
Ale sam czasem drugiemu pogodził,  
Wielką mieć pomoc z tych ksiąg, gościu, będziesz,  
Gdy nad łacińskim językiem usiędziesz.  
Nie bądźcie hardzi swym żakom, mistrzowie,  
Wszystko tu najdzie, co wy macie w głowie.

Ostatnie zdanie zawiera jawny przytyk do profesorów Jagiellońskiej Wszechnicy. Jest to może również echo dawnych narzekań, znanych ze średniowiecznych słowników, że mistrzowie świadomie ukrywają swoją wiedzę przed uczniami i nie lubią słowników.

Po latach bez mała 60 ukazał się nowy słownik, który Mączyńskiego zaćmił i usunął z użytku. Był to słownik polsko-łaciński i łacińsko-polski Grzegorza Knapskiego (1564-1638). Część polska, dla nas szczególnie ważna jako nowość, nosi tytuł *Thesaurus Polono-Latino-Graecus*, tzn. *Skarbiec polsko-łacińsko-grecki* (w Krakowie 1621, II wyd. 1643). Autor bywa też nazywany Knapiuszem, lecz prawdziwe nazwisko było Knap, co znaczy tkacz (jeszcze dziś znany



to wyraz chłopom w niektórych okolicach). Dzięki niewątpliwym zaletom słownik zapanował powszechnie i doczekał się powtórnych wydań. Część łacińsko-polska miała od r. 1626 aż 16 wydań. Wybór słów polskich, których nie można dosłownie tłumaczyć na łacinę, miał wydań 17, inny wybór, pt. *Synonima seu dictionarium Polono-Latinum ex Thesauro Gregorii Knapii collectum*, miał od r. 1643 aż 37 wydań. Istniała też trzecia część słownika obejmująca przysłowia, pt. *Adagia Polonica*. Mówiąc dzisiejszym językiem, Knapiusz całkowicie opanował rynek. Duże znaczenie miała okoliczność, że autor był jezuitą, uzyskał więc poparcie potężnego wówczas zakonu i jego licznych szkół. Knapski nie kryje się z tym bynajmniej, że nie tylko naukowe cele mu przyświecały: chce on wytrącić z rąk młodzieży słowniki dawniejsze, bo były w większości dziełami protestantów i mogły rzekomo na młodzież wywierać szkodliwy wpływ. W szczególności protestantem był Mączyński, który zresztą w słowniku miejscami bywał wobec katolików uszczypliwy, a we wstępie do słownika, mającym formę dedykacji Zygmuntowi Augustowi, poddał kler katolicki krytyce.

Dzięki powadze, jaką sobie pozyskał, odegrał słownik Knapskiego doniosłą rolę w dziejach polskiego języka<sup>15</sup>. Pewne polskie słowa młodzieży podsuwał, inne zaś przemilczał lub wyraźnie potępiał, a przez to je skazywał na zapomnienie albo spychał do dialektów. W przeciwieństwie do Mączyńskiego, który nie był purystą i mniej dbał o elegancję jak o obfitość i dobitność wyrazów, był Knapski purystą umiarkowanym, tj. dbał bardzo o usunięcie wszystkiego, co w jego przekonaniu nie było właściwe. Był w tej szczęśliwej sytuacji, że mógł za wzór brać utwory wybitnych pisarzy, jak np. Kochanowskiego, czym się nie mógł posłużyć Mączyński, stojący na samym początku złotego okresu polskiej literatury. W obszernym wstępie do słownika wyłożył Knapski swoje poglądy na poprawność językową, przy czym na ogół okazał wiele zdrowego rozsądku. Potępia np. obce pożyczki, ostro występuje przeciw makaronizowa-

niu, czyli przeplataniu polskich zdań łaciną, która to moda zaczęła już wtedy bardzo bujać ku wielkiej krzywdzie języka polskiego. Protesty Knapskiego w tym wypadku na nic się nie zdały, nic też nie pomogły pochlebne słowa o języku polskim, o którym miał bardzo wysokie mniemanie, stawiając jego bogactwo wyrazowe i gramatyczne ponad język łaciński. Dla dzisiejszego językoznawcy i historyka literatury ma słownik Knapskiego bardzo wielkie znaczenie.

W części polsko-łacińskiej Knapski nie miał okazji, którą miał Mączyński, objaśniania wyrazów łacińskich, objaśniał za to polskie, nieraz bardzo interesująco: „kokoszę się, facio me ferocem, facio me magnum... v(ide) *Podajmuję boki, Uprząść postawę. Dicunt autem Poloni: Pawić się, eodem sensu quo kokoszyć się (...) magnifice superbeque incedere*”; „*Piękrzyciel* — zdobiciel, ubieracz, smukarz, piękroszka”. „*Przedmurze* — murek mały przed większym”. „*Olejnik* abo *oliwnik*, co olej naski abo cudzoziemski robi”; „*Opalam* — peł, proch wytrząsam, *Opalać* kogo kijem, id est bić smolno”, „*Opalać* sztukę chleba, id est chciwie, kāsając jeść, nie ukrawając”; „*Osobki* — strawa, abo życie różne od pospolitego życia drugich z ktoremi kto mieszka. Specyjalami niektorzy zowią”; „*Pierzgnę* — pierzgnie mi skora, opierzgła mi twarz (...) *Asperatur mihi cutis a vento frigido*”.

Knapski podaje chętnie związki wyrazu z innymi. Np. informuje, że *kamień* może być: *sklep* zwierający „zwornik”; *skło* rzeźący; *trunny*, *grobowy*; *waga*; *wieszczy*, abo *wroszkow*; *winny*; *zielono-modry*; *zielony*; *złotawy*; *złoto-gorący*, abo *gorąco złoty*; *złoto-pstry*; z *piany morskiej*, *kamień dziurkowaty*, *żużel kamienna*; *żywy*; *twardy*, *nieuproszony*, *Niekczemnik*, *Nieużyty* [to w odniesieniu do ludzi — „Człowiek kamień”]; *pospolity*; *biały*; *brzmiący*; *choroba*; *ciemnozielony*; *ciosany*; *ciskaniu* abo *skakaniu* we grze służący; *drogi*; *dziarstwisty* „wewnętrzny”; *drzewny*; *farb* rozlicznych; *garcowy*, z którego *garce* robią; *gwiazdzisty*; *ikrzasty*; *kaptuni*; *łamany* z gór, *nieociosany*, *orclami* też zowią; *lekki*; *czarny*; *lipki*; *miedzny*, abo *mosięzny*;

*mięśny; młyński spodni i zwierzchni; moskiewski „przejrzysty”; niezgorzysty; od czarow; od uroku; od kamienia choroby; od pijaństwa abo pijaństwo odganiający; ognisty; orli; piorunowy; przekoczarny; przekoognisty; przejrzysty; przezgłownik; rakowy...*

Dla wszystkich tu wymienionych podaje Knapski łacińskie odpowiedniki. Każde znaczenie i każdy związek frazeologiczny jest u tego autora osobnym hasłem słownikowym, jak u Mączyńskiego.

Upadek naszej kultury, który się zaczął ujawniać od połowy XVII w., sprawił, że na polu słownikarskim przez długi czas nie mamy nic wybitnego. Rzecz znamienna, że wśród tego, co wydano, są druki gdańskie i wrocławskie. Oba te miasta, bardzo zniemczone, żyły z handlu z Polską, toteż kupcy uczyli się języka polskiego, korzystając nie tylko z żywej pomocy nauczycielskiej, ale i z drukowanych samouczków. Właśnie w Gdańsku ukazał się w 1594 r., czterojęzyczny łacińsko-niemiecko-polsko-grecki słownik M. Volckmara<sup>16</sup>, stanowiący pośrednie ogniwo między Mączyńskim a Knapiuszem (4 wydania). I on podawał przy niektórych wyrazach przestrogi, że są one przestarzałe lub ludowe. W 1642 r., kiedy pewnie w Krakowie składano już drugie wydanie Knapskiego, wyszedł w Gdańsku trójjęzyczny i trójczęściowy (część łacińsko-polsko-niemiecka, niemiecko-łacińska, polsko-łacińsko-niemiecka) słownik Dasypodiusza (właściwie według łacińskiego słownika tego szwajcarskiego filologa). Ukazywały się jeszcze słowniki w języku polskim w Świdnicy, Brzegu, Królewcu i Rydze, nieraz z różnych powodów godne uwagi.

Nie było łatwo przewyższyć Knapiusza, zadowalano się więc — jak już wspomniałem — przedrukami jego części łacińsko-polskiej albo jej przeróbek, o których była mowa wyżej. Dopiero odradzające się życie kulturalne w połowie XVIII w. wydało duży słownik Abrahama Troca (Trotza) pt. *Nowy dykcyjonarz czyli Mownik polsko-niemiecko-francuski*<sup>17</sup> liczący 3077 szpalt (Lipsk 1764). Autor, warszawianin z pochodzenia, był lektorem języka polskiego w lip-

skim uniwersytecie. Jak sam twierdzi, nie ograniczył się on do korzystania z Knapiusza i innych starszych słowników, lecz wypisywał słowa z licznych przez siebie czytanych książek. Charakterystyczną cechą tego słownika jest obecność języka francuskiego; co prawda, małe słowniczkę francusko-polskie pojawiały się i wcześniej. Widoma to oznaka zmian, które tymczasem zaszły: oczy ludzi kulturalnych zwróciły się na Francję, która wówczas zajęła w Europie stanowisko przodujące. Drugie wymowne zjawisko — to nieobecność języka łacińskiego.

Słownik ten wprowadził ważną nowość: różne znaczenia jednego wyrazu nie były już osobnymi hasłami, lecz pod jednym hasłem gromadzono wszystkie znaczenia, zaopatrując je numerami. Sposób ten przyjął się w polskim słownictwie na stałe. Ponadto Troc dodawał przy znaczeniach kwalifikatory, np. prop[rie], bur[lesque], archit[ektoniczny], aritm[etyczny], obs[oletum] — przestarzałe, vulg[are], \*[rzadkie], \*[poetyckie]. I ten zwyczaj był i jest często stosowany, przede wszystkim w słownikach poprawnościowych. Pomnożył ilustrację znaczeń przykładami, np. pod hasłem *Gach*: „*Gachowie (gaszkowie) tam zagląдают*”, „*jej oczy po gachach młodych chodzą*”. Cytuje też przysłowia, np. pod *Baba* zamieszcza takie: „*długo ten pohuka, co babę oszuka*”; „*wiedzą to i baby na treacie [na tandecie]*”; „*babi naród zawsze chytry*”. Pod hasłem *koń*: „*Kto płaci konia, bierze go i z uzdeczką*”; „*wziąłeś konia, weźmi i bicz (lub: uzdeczkę)*”; „*z cudzego konia i wśród błota zsiada*”; „*jakby go na turecki koń wsadził*” i in. Troc przewyższył Knapiusza liczbą wyrazów: po części były to wyrazy nowe, które za życia Knapiusza jeszcze nie istniały, po części przez niego przeoczone.

Troc wydał już wcześniej *Nouveau dictionnaire françois, allemand et polonais* (t. 1–2, Lipsk 1744–1747). Znacznie później, po śmierci Troca (1769), ukazał się jakby dalszy ciąg jego dzieł pt. *Vollständiges deutsches und polnisches Wörterbuch* (1772), ułożony przez następcę Troca na urzędzie lektora — Stanisława Moszczeń-



skiego. Moszczeński wydał ponownie *Mownik* (1779), zaopatrując go w nowe hasła. Wszystkie tomy wyszły w Lipsku w 1812 r. („poprawiony i pomnożony przez grono ludzi uczonych z tych trzech nacji” — mówi się w przedmowie po francusku).

W latach 1743 i 1745 wyszło dość osobliwe dwutomowe dzieło z podwójnym tytułem, francuskim i polskim. Tak oto brzmi tytuł polski: *Nowy wielki dykcyjonarz JMci X. Daneta opata francuski, łaciński i polski [...] obfitujący w najlepsze sposoby mówienia z obserwacjami krytyki i gramatyki w każdym z tych trzech języków*. Autorem był zapewne pijar Franciszek (Dymitr) Kola, który do słownika francusko-łacińskiego ks. Piotra Daneta dodał polskie odpowiedniki<sup>18</sup>. Oba tomy liczą 1167 stron i mieszczą w sobie około 50 tysięcy haseł głównych i pobocznych, gdy słownik Mączyńskiego liczył stron 1030, Knapiusza — 1540, a Troca — 1582. Słownik miał zapewne służyć szkołom pijarskim, ale nie tylko — bo i wszystkim tym, którzy się chcieli nauczyć języka francuskiego i czytać modne książki francuskie.

W słowniku Daneta-Koli jest wiele ciekawych polskich słów i niemniej ciekawych opisów znaczenia słów francuskich: *Galefretier* — *Gałgan człowiek, powsinoga, hołyś, włóczęga*; *Gobelets* — *szalbierz, wyłyzgrosz, co pod kubek gra dla oszukania, kubek kuglarzski dla gry*; *se goberger* — *rad sobie, cieszy się, ochotki sobie czyni, zna nasz worek*; *Godelureau* — *gagatek, galant, fryerz, gach do kobietek nowy, co się z szczęścia do płci chlubi*; *godenot* — *Osobki różne, samoruszne na sprężynach chodzące, maryonerkami zowią*; *Guilledou* — *gielda, burdel, dom nierządny, czerwona baszta, słowo komiczne w francuskim*. Pominięto tu łacińskie i francuskie objaśnienia podobnego charakteru.

Dziwić musi, że Linde nie korzystał z tego słownika; trudno uwierzyć, żeby o nim nie słyszał. Toteż nie ma on hasła *wyłykubek*, *marionetka*, *czerwona baszta*, *osobki samoruszne*, ani zwrotu *grać pod kubek*. Czytając słownik Daneta-Koli natrafia się często na

francuskie wzory naszych zwrotów frazeologicznych, np. *wzrok stracić od płaczu* — *perder les yeux à force de pleurer*; *mieć smak, upodobanie, ochotę do czego* — *avoir du gout pour les choses*. Kola miał zamiar wydać część polsko-francuską, lecz go nie wypełnił.

Nową epokę otwarł dopiero Bogumił Samuel Linde, gdy z początkiem XIX w., w latach 1807–1814, wydał w 6 tomach *Słownik języka polskiego*<sup>19</sup>. Również miejsce wydania, Warszawa, jest symbolem przesunięć, jakie się w Polsce dokonały. Już nie Kraków, gdzie się drukował słownik Knapskiego, lecz Warszawa stała się głównym ogniskiem życia kulturalnego.

Dzieło Lindego spotkało się z gorącym przyjęciem, ukazało się bowiem wtedy, gdy w języku widziano najlepszego gwaranta zachowania bytu narodowego, zagrożonego przez rozbiory. Poeta Kazimierz Brodziński ukończenie słownika powitał odą, co prawda mocno napuszoną, ale dobrze oddającą nastrój patriotów, miłośników języka ojczystego:

.....  
.....

Czeka cię zwycięstwa chwała!  
Linde! twa praca spełniona!  
Gdzie rąk trzeba Egeona,  
Tam dłoń jedna dokonała.

.....  
Uniosłeś nam drogie szczątki  
Jedynej ojców puścizny,  
Jedne niestarte pamiątki  
niszczonej zewsząd ojczyzny (...)

.....  
Niechaj Słowian pokolenie  
Wiecznie twoje dzieło chowa,  
Czci jak lary nieskończenie —  
praca to jest Alcydowa!

Lecz gdzie są Alcyda słupy?  
Gdzie dziś słupy Bolesława?

Wiecznym mieniem nie są łupy,  
Kamień granic nie nadawa.

Język jest granicą świętą,  
Stróż Chin, odwieczny mur, już się zawali,  
Mowa zostanie nietchniętą,  
Na nią już chciwość nie wykopie stali.

Z nią twoje imię niewzruszone będzie!

.....

Słownik Lindego zaćmił dwa inne wartościowe słowniki, które się współcześnie ukazały: J. S. Bandtkiego *Słownik dokładny języka polskiego i niemieckiego...* (Wrocław 1806), liczący bądź co bądź 2000 stron, oraz K. C. Mrongowiusza *Dokładny słownik polsko-niemiecki...* (1835). Oba one kontynuują piękne tradycje słownikarstwa śląskiego i pomorskiego. Oba zawierają nieco słów gwarowych: śląskich u Bandtkiego i pomorskich u Mrongowiusza.

Słownik Lindego różni się zasadniczo od wszystkich dawniejszych. Tamte były słownikami mowy współczesnej, przeznaczonymi do użytku przy nauce obcych języków i przekładach, ten zaś jest słownikiem historycznym i objaśniającym. Jak w jakimś skarbcu są w nim zebrane wyrazy, których kiedykolwiek użyto w druku, obojętne, czy współcześnie, czy przed wiekami, obojętne, czy są jeszcze rozumiane i używane, czy też nie. Co więcej, podaje z różnych autorów autentyczne przykłady użycia tych wyrazów. Poucza więc, jak się nimi posługiwał Kochanowski, Skarga, Krasicki i inni, znani szeroko lub tylko w kołach specjalistów. W ten sposób słownik stał się zarazem nauczycielem wzorowej polszczyzny. Ponadto Linde znaczy zawsze, z jakiej książki i z jakiej w niej strony wziął drukowany przykład. Nietrudno się domyślić, jak olbrzymie wszystko to razem ma znaczenie dla kultury polskiego języka. Słownik bowiem Knapskiego, pomimo oglądania się na język wybitnych autorów, jest przede wszystkim świadkiem jego własnego sposobu mówienia,

poucza o jego jednostkowym, indywidualnym poczuciu językowym, a dopiero pośrednio przez niego poznajemy współczesny mu stan języka. Linde natomiast świadczy o stuleciach i zmianach, jakie podczas nich zaszły. Dopiero Linde umożliwił badania poprawności wyrazów i zwrotów, dając świadectwo, czy i jak posługiwali się nimi mistrzowie polskiego słowa. Przez podanie źródła umożliwił nad sobą naukową kontrolę. Nic dziwnego, że się bez słownika Lindego nie może obejść żaden pracownik i żadna pracownia, zajmująca się językiem polskim. Nie może się bez niego obejść ani badacz języka, ani historyk literatury, a często sięga doń przyrodnik i technik. Bez Lindego byłaby utrudniona lektura dawniejszych tekstów, on bowiem pouczy o znaczeniu zapomnianych już przez nas wyrazów albo takich, które zmieniły znaczenie. Gdy się dziś drukuje utwory klasyków dla szerszych kręgów czytelników, zwłaszcza zaś dla młodzieży, podaje się zwykle objaśnienia wyrazów; właśnie słownik Lindego dostarcza autorom objaśnień i potrzebnych informacji. Czerpie się więc z niego podobne wiadomości jak te, co kiedyś były potrzebne przy czytaniu poematów Homera i stały się przyczyną pojawienia się słowników. Pożytek z Lindego jest jednak o wiele szerszy niż z takich dawnych słowniczków-komentarzy.

Słownik Lindego nie jest przeznaczony dla uczących się obcego języka; wprawdzie podaje on znaczenia polskich słów w innych językach, ale miało to od razu znaczenie podrzędne i dziś nikt po to się do Lindego nie zwraca, a przecież znaczenie jego jest wielokrotnie większe niż jakiegokolwiek słownika dwujęzycznego. Słowniki historyczne w rodzaju Lindego są szczytowymi osiągnięciami w zakresie słowników.

Obce odpowiedniki, zwłaszcza słowiańskie, ułatwiły nadto studia porównawcze nad słownictwem słowiańskim, szczególnie zaś rozwój studiów etymologicznych, zwracały bowiem uwagę bądź na podobieństwa, bądź różnice oraz na geograficzne rozprzestrzenienie

studiowanego wyrazu, umożliwiały często rozpoznanie wędrowki wyrazów od języka do języka i znalezienie źródła zapożyczenia.

W 1854–1860 r. wyszło we Lwowie nakładem Zakładu Narodowego im. Ossolińskich drugie wydanie, nieco przez jego redaktora, Augusta Bielowskiego, uzupełnione i zaopatrzone jego dużą przedmową. To wydanie wyszło jeszcze raz w przedruku anastaticznym w 1951 r. [i ponownie w latach 1994–1995].

Jak słownik Mączyńskiego był związany z rozwojem leksykografii doby Odrodzenia, tak słownik Lindego wyrósł w związku z rozwojem filologii europejskiej Oświecenia. Jednym z jego wzorów był niemiecki słownik Adelunga, ale Linde osiągnął poziom wyższy. Już wnet, bo w 2007 r. nadejdzie 200-setna rocznica ukazania się 1. tomu, a jednak nic go jeszcze nie może zastąpić. Pewne rzeczy się przestarzały, jak np. uwagi o pochodzeniu słów i pokrewieństwie z wyrazami innych słowiańskich języków. Wytknięto też Lindemu, że wypisując z autorów przykłady za mało był dokładny, że je czasem milczkiem przerabiał, aby cytat był krótszy i łatwiej zrozumiały, że zbyt często brał przykłady z gorszych wydań, choć istniały lepsze, ale mimo to stale do niego zaglądamy<sup>20</sup>. Z jednej strony świadczy to bardzo dobrze o nim samym, ale z drugiej źle mówi o jego następcach, o następnych pokoleniach miłośników języka polskiego, czy może raczej o trudnej sytuacji nauki polskiej w dobie rozbiorów. Wprawdzie w jakieś 10 lat po ukazaniu się drugiego wydania słownika Lindego wydano w Wilnie dwutomowy *Słownik języka polskiego* (1861) bardzo obfity w wyrazy, ale pozbawiony całkowicie przykładów z autorów, skutkiem czego nie mógł on współzawodniczyć z Lindem. Informuje on tylko dobrze o zapasie słownym na Wileńszczyźnie, co jest wcale ważne, bo stamtąd wyszło wielu polskich pisarzy z Mickiewiczem na czele. Słownik ten znany jest pod nazwą *Słownika Orgelbranda* od nazwiska wydawcy albo *Słownika wileńskiego* od miejsca wydania. Słownik był dziełem kilku autorów<sup>21</sup>.



Dopiero na samym początku XX wieku zaczęto wydawać w Warszawie — stąd często się mówi *Słownik warszawski* — *Słownik języka polskiego*, zredagowany przez Jana Karłowicza, Kryńskiego i Niedźwiedzkiego, w 8 tomach (1900–1927)<sup>22</sup>. Jest on również historyczny jak słownik Lindego, ale liczbą słów go przewyższa. W słowa jest on od wszystkich słowników naszych bogatszy. Zawiera on bowiem wyrazy nie tylko z w. XIX, których Linde oczywiście uwzględnić nie mógł, ale także pewną ilość z rękopisów XV-wiecznych, które Lindemu również nie były dostępne; objął dalej wiele wyrazów istniejących tylko w gwarach chłopskich, albo znów tylko w mowie specjalnych zawodów (lekarzy i innych), którymi się przeciętny inteligent nie posługuje. Osobnymi znakami wyróżnia wyrazy przestarzałe i wulgarne, może więc służyć jako przewodnik poprawnościowy (nie zawsze zresztą pod tym względem jest ścisły).

To są jego strony dodatnie; niestety, ujemne strony są również poważne<sup>23</sup>. Przejął on co prawda cały materiał z Lindego, ale dokładności cytatów nie sprawdził, skutkiem czego przejął jego błędy. Ponieważ zaś opuścił tytuły dzieł i strony (przy nowych własnych przykładach również), odjął swoim czytelnikom możliwość kontroli i naprawienia nieścisłości. Zaoszczędzono w ten sposób dość dużo miejsca i kosztów, ale ogromnie obniżono wartość naukową. Również podział na znaczenia i sposób objaśniania znaczeń bardzo często zasługuje na krytykę. Gdy słownik ten porównamy z dziełem Lindego, oznacza on krok wstecz, a nie naprzód. Straty poniesionej przez opuszczenie źródła cytatów nie zastąpi ani ilość słów, ani wskazówki poprawnościowe. Wszystkie te zastrzeżenia nie zmieniają faktu, że jest to jedyny informator o języku polskim autorów XIX wieku. To sprawiło, że został on powtórnie wydany techniką fotograficzną (1952–1953). Przy ocenie tego słownika trzeba jeszcze wziąć pod uwagę, że go przygotowano w bardzo trudnej sytuacji, w zaborze rosyjskim, jego zaś twórcy nie mogli liczyć na pomoc własnego państwa, ale jedynie na pomoc społeczną. Gdy się przyj-

mie tę poprawkę historyczną, musi się przyznać, że słownik przynosi zaszczyt jego inicjatorom i realizatorom. Po nim przez dłuższy czas brakło inicjatywy o szerszym rozmachu. Zbyt dobrze wiedzano o tym, że słownik, który by miał stać na wysokości nowoczesnych wymagań naukowych, wymagałby ogromnego wysiłku. Można by go wykonać tylko dzięki długiej pracy wielkiego zespołu, do którego by weszło bardzo wielu pracowników „rzemieślniczych” pod kierunkiem kilku uczonych. Uczeni musieliby ułożyć dokładnie przemyślany plan, tamci by wzięli na siebie trud starannego wybrania z autorów wszystkich wyrazów, uwzględniając wszystkie odcienie znaczeniowe i specjalne połączenia. Wprawdzie nasze piśmiennictwo nie należy do największych na świecie, ale mimo to przedsięwzięcie by było na wielką skalę. Wymagałoby oczywiście olbrzymich wydatków, które by się z pewnością nie wróciły ze sprzedaży słownika, innymi słowy, ktoś musi objąć rolę mecenasa, pokrywającego deficyt.

Dopiero koło 1950 r. podjęto pod kierunkiem W. Doroszewskiego wielkie prace nad słownikiem współczesnego języka polskiego<sup>24</sup>. Miał on objąć całe słownictwo literackie nie tylko w. XX, nie tylko w. XIX, ale nawet te wyrazy z 2. połowy XVIII w., które jeszcze dziś, choćby tylko biernie, są znane wykształconemu i odczytanemu Polakowi. Zebrano cytaty z mnóstwa dzieł tego 200-letniego okresu, osiągając zbiór około 5 milionów kartek. Na ich podstawie ułożono listę haseł słownikowych, objaśniono ich znaczenie, uzasadniono je oryginalnymi cytataми z autorów. Słownik pomija tylko rzadkie, indywidualne nowotwory literackie, wyrazy zbyt wulgarne i dotyczące spraw znanych niewielu specjalistom. Objął on w sumie około 110 tysięcy słów, podzielonych na 10 tomów, nadto 1 tom dodatków (Suplement). Tak szybki postęp prac stał się możliwy dzięki pomocy państwa, które dostarczyło pieniędzy na zorganizowanie licznego zespołu wykwalifikowanych pracowników, ci zaś zebrali potrzebne cytaty, a następnie zredagowali hasła słownikowe.

Nie ulega wątpliwości, że jest to dzieło o doniosłym znaczeniu bez względu na jego nieuchronne usterki. Na długi czas będzie ono najlepszym informatorem o wyrazowym zapasie języka polskiego, o znaczeniu wyrazów i sposobie ich używania. Dopomoże do ujednolicenia języka w całym kraju, do odsiania wyrazów gwarowych, żargonowych. W przyszłości będzie podstawą porównawczą, od której się będzie liczyć rozwój nowej polszczyzny. Słownik ten uniknął błędu *Słownika warszawskiego*, mianowicie dokładnie wskazuje, skąd wzięte zostały cytaty, co umożliwia ich kontrolę.

Na podstawie wielkiego słownika opracowano *Mały słownik języka polskiego* (1968), w którym pominięto wyrazy przestarzałe, mało znane, zdrobniałe i niektóre inne. Słownik ten przeznaczony jest dla szerokiego ogółu i powinien się znaleźć w każdym domu, nie mówiąc już o bibliotekach szkolnych. Zawiera on 35 000 haseł. Autorami byli: S. Skorupka, H. Auderska, Z. Łempicka.

Na tej samej podstawie opracowano i wydano 3-tomowy *Słownik języka polskiego* pod red. M. Szymczaka (1978–1981, kilka następnych wydań). Ten słownik należy do tzw. słowników „średnich”. Została w nim przeprowadzona selekcja wyrazów, podobna jak w *Małym słowniku*, jednakże na mniejszą skalę; więcej jest w nim informacji, więcej przykładów użycia. Dodano w nim pewną liczbę wyrazów nowych, nieobecnych w *Słowniku Doroszewskiego*. Ogółem opracowano w nim 80 000 haseł<sup>25</sup>.

[Ostatnio (w 1996 r.) został wydany ponownie *Słownik języka polskiego* pod red. W. Doroszewskiego i jest on również dostępny w wersji elektronicznej<sup>26</sup>.]

Dla językoznawców, ale i dla różnego rodzaju praktyków, np. stenografów i nauczycieli, ważne jest, jak często się poszczególne wyrazy pojawiają w tekstach, czyli jaka jest ich frekwencja. Wiadomo zaś, że poszczególne style językowe, nawet poszczególni autorzy, mają nieco odmienne słownictwo i nieco inną frekwencję, czyli częstość użycia wyrazów. Każdy, kto uważnie czyta teksty różnej

treści, musi te różnice zauważyć, chodzi jednak o to, aby je ująć w konkretne liczby. Sporządza się więc słowniki frekwencyjne osobno dla każdego stylu językowego, z nich zaś można sporządzić przeciętną listę frekwencyjną dla wszystkich stylów razem. Wyrazy w tych słownikach porządkuje się według ich częstości (listy „rangowe”, czyli listy kolejności, czyli hierarchii) i alfabetycznie z podaniem frekwencji wyrazu. Frekwencja wyrazów i listy rangowe tekstów pisanych różnią się od list tekstów mówionych. Frekwencja wyrazów może być dla autorów słowników wskazówką, które przede wszystkim wyrazy powinny się znaleźć w słownikach dwujęzycznych (przekładowych). Jeżeli chcemy usunąć wpływ przypadku na częstość użycia, musimy obliczenia oprzeć na dostatecznie obszernych tekstach: im większy zbiór tekstów, tym mniejsza rola przypadku. *Listy frekwencyjne współczesnego języka polskiego* opierają się na listach pięciu stylów, z których każda była sporządzona na tekstach liczących sto tysięcy wyrazów (I. Kurcz i inni [1974–1977]). Na podstawie tych list frekwencyjnych pt. *Słownictwo współczesnego języka polskiego* powstał dwutomowy *Słownik frekwencyjny polszczyzny współczesnej* (I. Kurcz i inni, 1990)].

Sporządza się także słowniki frekwencyjne autorów, a nawet osobnych dzieł. Przez porównanie zasobu słów jakiegoś autora lub dzieła z listą frekwencyjną odpowiedniego stylu i z listą ogólną uzyskuje się informację o indywidualnym autorskim użyciu słów; można zbadać autentyczność utworu, wykryć anonimowego autora.

Informacje bibliograficzne o ważniejszych polskich słownikach frekwencyjnych polszczyzny mówionej znajdują się na końcu w wykazie omówionych słowników (M. Zarębina, H. Zgólkowa).

Jak widać jasno z przeprowadzonego przeglądu słowników, słownictwo sprzed 1550 r. prawie wcale nie jest uwzględnione w żadnym wymienionym słowniku, słownictwo zaś XVI i XVII w. weszło wprawdzie do *Słownika* Lindego, ale w stopniu niedostatecznym, a to dlatego, że mnóstwo dawnych druków nie było Lindemu zna-

nych; dostrzeżono też, że nawet z tych dzieł, które on miał w rękach i robił z nich wypiski, nie wybrał wszystkiego, co zasługiwało na wypisanie. W wielu wypadkach przykładów bywa za mało. Nowoczesne studia nad starszym językiem wymagają dużo dokładniejszych informacji, niż można znaleźć we wszystkich dawniejszych słownikach razem. Dlatego od kilkudziesięciu lat pracujemy nad słownikami dawnych czasów.

Najstarszego okresu dotyczy *Słownik staropolski*, który jest dziełem wielkiego znaczenia. Obejmuje on wszystkie polskie wyrazy zapisane przed r. 1500, przykłady zaś bardzo skrupulatnie ilustrują wszelkie odcienie znaczeniowe i wszystkie formy gramatyczne wyrazów<sup>27</sup>. Słownik umożliwi przeprowadzenie różnorodnych studiów naukowych. Będzie można opracować pewne zespoły słowne, jak np. terminologię prawniczą, słownictwo dotyczące ustroju społecznego, życia rycerstwa, mieszczan, słownictwo dotyczące uprawy roli i hodowli zwierząt, a dzięki temu zrekonstruuje się ówczesne stosunki kulturalne może lepiej, niż to możliwe dzięki zapiskom historycznym<sup>28</sup>. Będzie można śledzić powstanie terminologii naukowej i w ogóle zasady rządzące wówczas powstawaniem wyrazów. Będzie można ocenić spadek po kulturze prasłowiańskiej i oddzielić go od dorobku w dobie istnienia państwa polskiego. Ogłoszono dotąd [11 tomów (wyrazy od A do Z–Złotyństwo)], red. nacz. jest S. Urbańczyk.

Słownictwo późniejszego okresu, wiek XVI, na który przypada główny trzon Odrodzenia, tak ważnego w dziejach Europy, i złoty wiek literatury polskiej, ma ogarnąć specjalny słownik, przygotowywany przez Instytut Badań Literackich<sup>29</sup>. Uwzględnia on szczególnie mocno środki artystyczne, używane w owym czasie, będzie się więc tym wyraźnie różnił od innych słowników. Pociągnie to za sobą wielkie rozmiary słownika. Rozporządza on też największymi w Polsce zbiorami przykładów (około 7–8 milionów kartek) i już w tej chwili ułatwia prowadzenie studiów nad językiem XVI wieku.



W roku 1966 ukazał się tom I z hasłami od A–Bany, a obecnie [(1999) liczy 26 tomów (wyrazy od A do P–Polżyć)]. Jest on dziełem wielkiego zespołu, w którym należy wyróżnić M. R. Mayenową, jednego z inicjatorów słownika, i F. Pełowskiego.

Okres 150 lat, od r. 1600 do 1750 (odkąd już słownictwo w wyborze zebrał wspomniany wyżej *Słownik języka polskiego*), obejmie osobny słownik, przygotowywany przez zespół językoznawców w Warszawie. W toku prac przygotowawczych opracowano *Słownik języka Jana Chryzostoma Paska* (tom I A–N wyszedł w r. 1965, tom II O–Ż w r. 1973). [W r. 1996 ukazał się zeszyt próbny *Słownika języka polskiego XVII i 1. połowy XVIII w.*, w którym przedstawiono m.in. dotychczasową historię jego powstawania, zasady opracowywania, alfabetyczny wykaz źródeł i wybrane artykuły hasłowe, a w roku 1999 zostały wydane dwa zeszyty tomu pierwszego A–Alembik]<sup>30</sup>.

Wybór dawnego słownictwa zawiera *Podręczny słownik dawnej polszczyzny* Stefana Reczka (1968). Jest on przydatny przy lekturze starszych autorów lub dzieł archaizowanych, jak np. *Trylogia* Sienkiewicza, powinien więc znajdować się w bibliotekach szkolnych.

Wymienione słowniki poświęcone są całym okresom, po lat 100, 150 czy 200, ale warto obok nich wspomnieć jeszcze o słownikach języka poszczególnych autorów. Takim jest 11-tomowy słownik wyrazów z twórczości Adama Mickiewicza (1962–1983). Z wielką troskliwością zebrano w nim wszystkie polskie wyrazy, których użył wielki poeta, a także wszystkie wypadki ich użycia<sup>31</sup>. Skutkiem tego każde zdanie przez niego napisane powtarza się w słowniku tyle razy, ile jest w nim wyrazów; słownik tak pojęty zajął więcej miejsca niż sama pisana spuścizna Mickiewicza. Tego rodzaju słowników jest w świecie niewiele, np. słownik pism Goethego lub słownik pism Puszkina. Swoje ukazanie się słownik zawdzięcza przede wszystkim K. Górskiemu, w drugiej kolejności S. Hrabcowi oraz opiece Instytutu Badań Literackich PAN.

Wielki „skarbiec języka”, jak np. ten pod redakcją W. Doroszewskiego, użyteczny jest nie tylko sam wprost, ale także pośrednio, na jego bowiem podstawie układa się następnie słowniki dwujęzyczne, o których była mowa na samym początku. Skarbce są przecież magazynami, w których każdy znajdzie, co mu szczególnie potrzebne. Na ich też podstawie układa się słowniki ortograficzne, ortoepiczne i inne. One również ułatwiają orzeczenia i porady poprawnościowe, ponieważ pokazują, czy i w jaki sposób używali pisarze poszczególnych wyrazów. Umożliwiają studia językoznawcze nad budową wyrazów, ich znaczeniem, składnią itd. Np. słownik Lindego był pomocny autorom gramatyk XIX w., pouczając o odmianie wyrazów i dostarczając odpowiednich przykładów. Namiastką skarbcza są mniejsze słowniki, jak np. u nas *Ilustrowany słownik języka polskiego* (wyd. 3. Warszawa 1929, Arct). Podaje on tylko wybór najważniejszych słów, dołączając gdzie tylko można obrazek, aby ułatwić zrozumienie wyrazów: zamiast np. tłumaczyć, co to jest lokomotywa, daje się jej rysunek. Dzięki mniejszym rozmiarom taki słownik ma niższą cenę, a przez to jest dostępny także przeciętnie zamożnym ludziom, nie tylko bibliotekom.

Słowniki — skarbcce obejmują wyłącznie lub przede wszystkim wyrazy używane w języku tzw. warstw kulturalnych, ale poza nimi pozostają wyrazy używane przez grupy terytorialne lub zawodowe. Te to wyrazy na ogół nie są znane wśród inteligentów, jak na razie prawie wyłącznych czytelników słowników. Takie wyrazy zbiera się w osobnych słownikach. Bardzo ważną kategorią są słowniki gwarowe, gromadzące i objaśniające wyrazy używane na wsi. Częściowo są to wyrazy używane również w mieście — inaczej nie mogliby się porozumieć chłopci z ludźmi miasta i nie tworzyliby jednego narodu — ale w części zupełnie inne. Jest to rzecz dobrze rozumiała, przecież chłop wykonuje różne prace, o których mieszczuch nie ma pojęcia — w tych pracach posługuje się chłop różnymi narzędziami, które również jakoś muszą być nazwane; dalej, chłop żyje

w znacznie ściślejszym kontakcie z przyrodą, ma więc więcej nazw dla zjawisk przyrodniczych. Zachował pewne staroświeckie przedmioty, zwyczaje itp., a wraz z nimi ich nazwy. W sumie musi język wsi zawierać wielką ilość słów, w mieście nie używanych. Przez wyjazdy w góry ludzie miasta zetknęli się właśnie z wielu takimi wyrazami: *hala*, *turnia*, *perć*, *sikława*, *baca* itd. W istocie jednak każda okolica ma pewną ilość swoich specjalnych wyrazów, uchodzą one jednak uwagi inteligentów, bo się z nimi nie zetknęli równie blisko jak z góralskimi. Dość specjalne słownictwo muszą posiadać wsie rybackie położone nad morzem i jeziorami.

Zebranie słownictwa gwarowego ma ogromne znaczenie naukowe, dopiero bowiem w ten sposób ogarniamy mowę polską w całej rozciągłości; możliwe są badania, których bez tego by się nie dało wykonać. Słownik gwarowy umożliwia zrozumienie utworów pisanych choćby w części gwara, a więc tak cennych rzeczy, jak *Na skalnym Podhalu* Tetmajera, *Chłopi* Reymonta, nawet *Krzyżacy* Sienkiewicza i wiele innych. Taki słownik ułatwia dalej artystom słowa przyswojenie sobie nowych wyrazów, przydatnych bardzo do odświeżenia języka literackiego. Właśnie w ostatnich kilkudziesięciu latach został język literacki wzbogacony sporą liczbą wyrazów gwarowych. Słownik gwarowy ma wielkie znaczenie dla pewnych gałęzi wiedzy, zwłaszcza językoznawstwa i etnografii. Posiadamy *Słownik gwar polskich* Jana Karłowicza w 6 tomach (Kraków 1900–1911). Ma on wiele braków tak co do dokładności, jak pełni materiału i układu, ale pomimo wszystko jest niesłychanie użyteczny. Żaden naród słowiański długo nie miał nawet takiego. Stwierdzając te niedostatki, trzeba jeszcze pamiętać, że i koncepcja słownika, i główna część pracy nad zebraniem wyrazów zostały wykonane w samych początkach naszej dialektologii, przed jej wielkim rozwojem, który się rozpoczął dopiero po r. 1900, kiedy to wyszedł 1. tom *Słownika gwar polskich*. Karłowicz zdążył przygotować do druku tylko dwa tomy, trzeci zredagowali H. Łopaciński i W. Taczanowski, a pozostałe trzy — J. Łoś.

Słownik ten należy zastąpić bardziej nowoczesnym, tak co do zasobu wyrazów, jak co do sposobu opracowania. Prace nad *Słownikiem gwar polskich* rozpoczął już przed wojną K. Nitsch, lecz dopiero w jakiś czas po II wojnie światowej prace przybrały żywsze tempo. I tej akcji patronuje Polska Akademia Nauk, utrzymująca osobną pracownię, działającą w Instytucie Języka Polskiego PAN w Krakowie. Druk, choć powoli, postępuje naprzód<sup>32</sup>. Szczególnie cenna jest zawarta w nim ludowa frazeologia. [W 1999 r. IJP PAN wydał dwutomowy *Indeks alfabetyczny wyrazów z kartoteki „Słownika gwar polskich”* opracowany pod redakcją prof. J. Reichana.]

Oprócz słowników, które — jak już wymienione — gromadzą słownictwo z całego kraju, istnieje co najmniej kilkadziesiąt słowników ograniczających się do oddzielnych wsi lub okolic. Mamy więc słowniki gwary podhalańskiej; *Der Wortschatz der polnischen Mundart von Sankt Annaberg* (*Słownictwo polskiej gwary Góry Świętej Anny*) R. Olescha, *Słownik gwar Ostródzkiego, Warmii i Mazur* (T. I A–Ć, 1987, [T. II D–G 1991, T. III H–K 1993]) opracowywany przez zespół warszawski IJP PAN.

A jednak ani słowniki historyczne języka polskiego, ani słowniki gwarowe nie zaspokajają w pełni historyka słownictwa polskiego. W jego warsztacie naukowym muszą się jeszcze znaleźć słowniki nazw miejscowych i osobowych, nieraz bowiem tylko imię ludzkie lub nazwa miejscowa potwierdzi istnienie w dawnej polszczyźnie jakiegoś wyrazu pospolitego, poza tym w słownikach nieuchwytnego. Można też dzięki nim uzyskać informacje o procesach językowych, np. uściślić ich datowanie. Polacy mogą się poszczycić posiadaniem monumentalnego dzieła pt. *Słownik geograficzny Królestwa Polskiego* (t. I–XV), w którym zarejestrowano nazwy miejscowe z całego terenu objętego granicami Polski w czasach przedrozbiorowych<sup>33</sup>. Istnieją ponadto słowniki miejscowości niektórych regionów Polski<sup>34</sup>. Staropolskie imiona rodzime, zapisane przed r. 1300, zebrał i objaśnił W. Taszycki w studium *Najdawniejsze polskie imiona osobowe*. On również wraz z zespołem Pracowni Onomastycznej

Z kolei zasługują na uwagę słowniki grup zawodowych: lekarzy, chemików, metalowców, kolejarzy itd. Następują one całkiem nowe problemy. Słownictwo zawodowe stoi pod bardzo silnym obcym wpływem. Rozwój nauki i techniki światowej jest wspólnym dorobkiem ludzkości, pewne jednak narody z różnych względów mogą się pochlubić szczególnie wielkim dorobkiem. Wytwarzając nowe dobra kulturalne, nadają one swoim wynalazkom nazwy we własnym języku. Wytwarzanie wynalazków, a potem ich obsługa, związane jest z różnymi, często skomplikowanymi czynnościami, które również otrzymują swoje nazwy. Naród przejmujący wynalazek i uczący się sposobu produkcji i użytkowania przejmuje wraz z rzeczą nowe wyrazy. Nasze pokolenie było przecież samo świadkiem szerzenia się nowych nazw: *telewizor, wideo, teleks, radar, penicylina, streptomycyna, traktor, sputnik* i wiele innych. Bardzo często takie nazwy tworzy się ze słów łacińskich i greckich (*automobil, aeroplan, kino*). Są to słowa ponadnarodowe i dlatego słusznie narody pozostawiają je na ogół bez zmiany. Jak sama rzecz, tak i nazwa staje się wspólnym dobrem ludzkości. Nie brak jednak wypadków, kiedy można obcy wyraz nazywający rzecz lub czynność zastąpić polskim wyrazem, który może nawet istnieje, ale nie jest w szerszych kołach znany. Trzeba z jednej strony chronić nasz język przed zbyt dużym zalewem cudzoziemszczyzny, z drugiej strony zaś ułatwić zrozumienie i zapamiętanie nowych wyrazów przez tworzenie ich z elementów rodzimych<sup>36</sup>. Trzeba także troszczyć się o to, aby w całej Polsce było jednakowe słownictwo zawodowe, bo to ułatwia szkolenie i przerzucanie pracowników na potrzebne miejsca. Bardzo dobrym środkiem unifikacji wyrazów i ich rozpowszechniania są właśnie słowniki zawodowe. Ponieważ są one zwykle dwu- lub wielojęzyczne, ułatwiają równocześnie czytanie i tłumaczenie obcych dzieł naukowych i technicznych. Chronią przy tym przed niepo-



Stanisław Urbańczyk, *Słowniki i encyklopedie. Ich rodzaje i użyteczność*  
bowiem tłumacz, gdy mu nic własnego na myśl nie przyjdzie, zostawia obcy wyraz; słownik jest w takim wypadku dobrym pomocnikiem, który stosowny wyraz podsunie.

Od lat kilkudziesięciu pojawiają się słowniki różnych zawodów, niekiedy ten sam słownik ukazuje się powtórnie w większych rozmiarach, w miarę tego, jak postępuje rozwój techniki i zabiegi o spolszczenie słownictwa. W latach 1923–1933 ukazało się osobno 40 słowników technicznych, co najlepiej świadczy o ich potrzebie<sup>37</sup>. Trudno tu nie wspomnieć choć o najważniejszych zjawiskach. Ważną rolę odegrało dwóch inżynierów Stadtmüllerów, ojciec i syn, którzy włożyli wiele wysiłku w opracowanie słownictwa technicznego i ogłoszenie słownika. Dzięki nim posiadliśmy obszerny *Słownik techniczny* w dwóch częściach: niemiecko-polskiej i polsko-niemieckiej, każda część obejmuje dwa tomy. Część niemiecko-polska miała dwa wydania (Kraków 1913 i 1925). Pierwsze wydanie liczy 80 000 wyrazów, wydanie drugie 107 000 wyrazów. Słowniki politechniczne liczą dziś około 150 000 terminów, słowniki zaś poszczególnych gałęzi technicznych 15–25 tysięcy. Dla porównania trzeba tu dodać, że słownik Lindego obejmuje około 59 000 wyrazów<sup>38</sup>, a jest przecież słownikiem ogólnym języka polskiego, obejmując nie tylko wyrazy współczesne, ale i dawne. Wybór języka niemieckiego przez Stadtmüllerów tłumaczy się wybitną rolą, jaką odegrał przemysł i rzemiosło niemieckie a także niemieckie szkolnictwo zawodowe w rozwoju naszego przemysłu i rzemiosła. Obok słownika Stadtmüllerów ważną pozycją miał być *Słownik polskich wyrazów technicznych* układany pod patronatem Komisji Polskiego Słownictwa Technicznego Akademii Nauk Technicznych, jednakże wojna przerwała prace. Ukazała się tylko jedna część pod tytułem *Hutnictwo żelazne* (Warszawa 1936–1939).

W osobliwych warunkach rodziły się słowniki morskie. Nie posiadając przed I wojną światową floty, nie mieliśmy też słownictwa

morskiego. Stwarzanie floty w wolnej Polsce wymagało równocześnie szybkiego stworzenia słownictwa. Mieliśmy pewną ilość doświadczonych marynarzy, ale posługiwali się oni wyrazami rosyjskimi, angielskimi i niemieckimi, zależnie od marynarki, w której przedtem służyli. Należało przeprowadzić w tym słownictwie jakiś porządek: musiało się usunąć najgrubsze barbaryzmy, dać wyraz rodzimy, gdzie tylko można, a gdzie niezbędne — wybrać jakiś wyraz obcy. Rezultaty tych porządków ogłaszano w słownikach. Było ich kilka, bo kilka było prób uporządkowania, póki nie powstała urzędowa komisja terminologiczna<sup>39</sup>. Najpierw działała pod opieką Ligi Morskiej i Kolonialnej, później przeszła pod patronat Polskiej Akademii Umiejętności. Wydała ona kilka zeszytów *Słownika morskiego polsko-angielsko-francusko-niemiecko-rosyjskiego*, przechodząc słownictwo działami: okręty żaglowe, okręty żelazne (stalowe), urządzenia portowe, nawigacja. Po wyrazie polskim następują odpowiedniki rosyjskie, angielskie, francuskie i niemieckie. Indeksy sporządzone w tych obcych językach odsyłają do wyrazów polskich. Przejrzyste rysunki ułatwiają połączenie nazwy z właściwą częścią okrętu. Z powojennych wydawnictw warto zanotować słownik Z. Grabowskiego i J. Wójcickiego pt. *1000 słów o morzu i okręcie* (1955).

Po ostatniej wojnie zainteresowanie słownikami fachowymi ogromnie wzrosło. Można chyba zaryzykować twierdzenie, że wydano ich w powojennym 20-leciu więcej niż w całej naszej przeszłości razem. Są wśród nich także słowniki wielojęzyczne. Przypominają się więc czasy, kiedy to (w w. XVI–XVII) wydawano słowniki łacińsko-polsko-niemieckie itp. Wtenczas zapewniano sobie zbyt w kilku krajach, dziś zapewnia się polskiemu technikowi możliwość korzystania z dzieł w kilku językach z pomocą jednego słownika. Jako przykład można podać *Słownik spawalniczy polsko-rosyjsko-francusko-niemiecki* (1960) albo *Słownik geodezyjny w 5 językach: polskim, rosyjskim, niemieckim, angielskim, francuskim* (1959),

*Słownik terminów fizycznych polsko-angielsko-francusko-niemiecko-rosyjski* (1961), *Międzynarodowy słownik terminologii elektrycznej* w 9 językach: polskim, niemieckim, angielskim, hiszpańskim, francuskim, włoskim, holenderskim, rosyjskim, szwedzkim (1960–1973, 7 tomów). Przeważają oczywiście słowniki dwujęzyczne, np. *Górnictwo słownik rosyjsko-polski i polsko-rosyjski* (1950), *Słownik chemiczny angielsko-polski* (1957), *Słownik chemiczny rosyjsko-polski* (1955), *Wielki słownik techniczny rosyjsko-polski* (wyd. 7, Warszawa 1983, M. Martin) itd. Poza autorami, redaktorami i komisjami, czynnymi przy niektórych branżowych zrzeszeniach techników, wielką zasługę mają wydawnictwa, zwłaszcza Państwowe Wydawnictwo Techniczne, które wydało przeważną część powojennych słowników technicznych. Najłatwiej je wyszukać w katalogach rzeczowych (systematycznych i przedmiotowych) w większych bibliotekach, zwłaszcza w bibliotekach wyższych szkół technicznych, jak politechniki i Akademia Górniczo-Hutnicza.

Pewna część słownictwa technicznego nosi na sobie stempel oficjalny, mianowicie Polski Komitet Normalizacyjny, ogłaszając obowiązujące normy państwowe pt. *Polskie normy i Polska norma*, podaje oczywiście nazwy normowanych przedmiotów, co im zapewnia odpowiedni autorytet.

Godne jest uwagi, że wśród języków obcych, pojawiających się w słownikach fachowych, przodują języki angielski i rosyjski, co świadczy wymownie o ich roli w nowoczesnej nauce i technice. Język niemiecki zeszedł wyraźnie na plan dalszy.

Wreszcie między słownikami grup zawodowych zasługują na uwagę słowniki lekarskie. Dwa z nich wyróżniają się rozmiarami: starszy (ale nie najstarszy!), opracowany zbiorowo przez kilku krakowskich lekarzy *Słownik lekarski polski* (Kraków 1905), i młodszy *Polski słownik lekarski*, 2 tomy (Warszawa 1931), wydany przez F. Giedroycia. Szło w tym wypadku o ustalenie i spolszczenie słownictwa, które było w ogromnej większości grecko-łacińskie. Postarano się

o to, aby do słów obcych dodać wyrazy utworzone z rodzimych składników. Niekiedy może jednak poszło się niepotrzebnie za daleko, usuwa się na przykład dobrze znane i niczym nie raziące wyrazy, jak *szkarlatyna* lub *tyfus*, wprowadzając na ich miejsce *plonicę* i *dur*, które zwykłym śmiertelnikom nic nie mówią. Z czasem pojawiły się i inne słowniki, związane z medycyną, np. *Mianownictwo anatomiczne* M. Stelmasiaka, J. Kołaczkowskiego i W. Łasińskiego (Warszawa 1958).

Pomijam tu inne słowniki specjalne, jak kolejowy, bankowy itd., wspomnę jako o ciekawostce o słownikach gwary przestępców. Świat przestępców, który ma wszelkie powody, aby o swoich sprawach mówić wyrazami komu innemu nie znanymi, doszedł do sporej ich liczby. Zwróciło to uwagę językoznawców i policji, która była szczególnie zainteresowana w wydarciu tajemnicy. I językoznawcy, i policja ogłosili kilka zbiorków wyrazów<sup>40</sup>. Niektóre ze słów żargonowych są szeroko znane, jak np. *gryps* (list z więzienia nielegalną drogą), *melina* (miejsce schadzek i przechowania skradzionych rzeczy), *doliniarz* (złodziej kieszonkowy). Kilka z nich zrobiło wielką karierę, jak np. *sitwa*, który to wyraz oznaczał pierwotnie spółkę, a następnie stał się nazwą „żołnierskiej wiary” i „braterstwa broni”. Drugim przykładem jest *szaber*, co pierwotnie oznaczało włamanie i rabunek, a po ostatniej wojnie stało się „grzeczną” nazwą kradzieży.

Rodzime polskie wyrazy na ogół rozumiemy, gorzej jest jednak z obcymi wyrazami. Nie trzeba daleko szukać, wystarczy wziąć do ręki pierwszą lepszą gazetę, tym bardziej jakiś poważniejszy tygodnik lub miesięcznik, to się sypną na poczekaniu wyrazy obce i niezrozumiałe. Czasem można się znaczenia domyślić, ale niekiedy i domyślność zawodzi. Trzeba się wówczas zwrócić o pomoc do kogoś doświadczonego albo właśnie do słownika. Ważniejsze wyrazy obcego pochodzenia znaleźć można w ogólnych słownikach języka polskiego, ale mamy też osobno wydane słowniki wyrazów obcych.

Wyrazy te istnieją w każdym języku, bo każdy język zapożyczał obce wyrazy; w polszczyźnie nie ma ich ani szczególnie mniej, ani szczególnie więcej niż w przeciętnym języku. Autorzy i wydawcy słowników wysilali się zwykle, aby ich zbiory były jak największe, liczbą też wyrazów starali się nabywcom zaimponować, zamieszczając w podtytułach liczbę zawartych słów. Starano się też o dobre wyjaśnienie znaczeń, nadto podawano, skąd do nas te obce wyrazy przywędrowały. Dążenie do pełności sprawiło, że słowniki są przeładowane mnóstwem wyrazów, których ktoś kiedyś przelotnie użył, po wtóre, są tam wyrazy, które właściwie powinny się znaleźć w słowniczkach dwujęzycznych, ponieważ ktoś je tylko wplótł żywcem w obcej formie do polskiego tekstu. Słowniki te zawierają również obce zwroty, nawet całe zdania, jeżeli są lub były kiedyś częściej używane. A więc będzie tam „dulce et decorum est pro patria mori” (słodko i zaszczytnie jest umrzeć za ojczyznę), „alea iacta est” (kości rzucone, tj. decyzja już zapadła), „cherchez la femme” (szukajcie kobiety, tzn. to sprawka kobiety, za tym się kryje kobieta).

Jak z tego wynika, słownik wyrazów obcych jest bardzo pożyteczną książką, zwłaszcza dla wszelkiego rodzaju samouków, którzy nie mają możliwości korzystać z pomocy doświadczonego nauczyciela. Bez wątplenia i ten nauczyciel nieraz będzie się sam musiał uciec do słownika po poradę, nikt przecież nie może znać wszystkich wyrazów swojego języka, ani tym bardziej przysłów z całego świata zapożyczonych. Dlatego słownik wyrazów obcych powinien znajdować się w każdej bibliotece, w każdej pracowni naukowej i koniecznie w każdej czytelnicy, gdzie ludzie przychodzą czytać i doszkalać się.

Dostępny, ale nieraz krytykowany, jest słownik wyrazów obcych opracowany przez kilku autorów (Z. Rysiewicz, J. Safarewicz, J. Słuszkiewicz), kilkakrotnie już przedrukowywany. Jako nowocześniejszy ma on przewagę nad dawniejszymi, np. słownikami



wydanymi przez firmy wydawnicze Arcta oraz Trzaski, Ewerta i Michalskiego. Rywalizuje z nim skutecznie *Słownik wyrazów obcych PWN* (pod red. J. Tokarskiego)<sup>41</sup>.

Jako ciekawostkę warto wspomnieć słowniki obrazkowe. Ponieważ objaśnienie wyrazu przez definicję jest trudne, a definicja może być niezrozumiała (trudności może sprawiać też objaśnienie synonimami), próbuje się czasem zastępować słowne objaśnienia obrazkami. Wspomniany już na wstępie B. Chmielowski, autor *Nowych Aten*, zamiast tłumaczyć, co to jest koń, zamieścił jego rysunek a pod nim słowa: *Koń jaki jest, każdy widzi*. Niekiedy obrazek dodaje się jako uzupełnienie słownego objaśnienia; tak np. w *Słowniku ilustrowanym języka polskiego* M. Arcta<sup>42</sup>. Przed kilku laty ogłoszono obrazkowy słowniczek angielski, francuski, niemiecki i rosyjski. Obrazkami objaśnia się nawet tak do tego celu na pozór nie nadające się wyrazy, jak przyimki i spójniki. Autorzy spodziewają się, że czytelnik łatwiej zapamięta wyraz, kojarząc jego zapis z rysunkiem.

Bardzo interesujące są słowniki etymologiczne. Tłumaczą one pochodzenie i pierwotne znaczenie naszych wyrazów, przede wszystkim wyrazów rodzimych i zapożyczeń, bardzo już zadomowionych. Gdy np. kogoś interesuje pochodzenie wyrazu *towarzysz*, dowie się ze słownika, że to wyraz spokrewniony ze słowem *towar*, to zaś oznaczało pierwotnie w ogóle ciężar i zwierzę, przenoszące ten ciężar. Ale przenoszenie ciężaru odbywało się przede wszystkim w celach handlowych, stąd dzisiejsze z handlem związane znaczenie towaru. *Towarzysz* jednak zerwał swój związek znaczeniowy z ciężarem i bardzo się uszlachetnił, nabierając znaczenia 'współuczestnik podróży, pracy, działalności politycznej'. Sam wyraz *towar* został w bardzo dawnych czasach zapożyczony przez Słowian od ludów wschodnich. Takie to i podobne historie opowiada słownik etymologiczny. Jego ułożenie wymaga bardzo dużej wiedzy i pracy. Nad wyjaśnieniem wyrazów trudzą się liczni uczeni, a mimo to samo zebranie ich prac i krótkie, a zręczne przedstawie-

nie w słowniku wymaga dużego talentu i wytrwałości. Język polski ma swój własny *Słownik etymologiczny języka polskiego* (1927) pióra Aleksandra Brücknera, wielkiego uczonego, posiadającego niezwykle talent etymologiczny. Słownik ten, jakkolwiek jest niestety niepożyteczny i jakkolwiek jego brak byłby bardzo kłopotliwy, grzeszy jednak nadmierną zwięzłością i niejasnością, skutkiem czego nie raz trudno go zrozumieć albo się go rozumie fałszywie. I on jest oczywiście pożądanym nabytkiem dla każdej biblioteki, pracowni naukowej i pedagogicznej. Jest po ostatniej wojnie wydawany do dzisiaj.

Od 1952 r. ukazywał się zeszytami nowy *Słownik etymologiczny*, pióra Franciszka Sławskiego (do wyrazu Łżywy). Jego wyjaśnienia są przystępniejsze i poparte wykazem rozpraw, w których czytelnik, jeśli zechce, może znaleźć jeszcze dalsze szczegóły i dowody, popierające taki czy inny przez autora podany rodowód wyrazu<sup>43</sup>.

Szczególnie często używanym słownikiem jest słownik ortograficzny, który uczy, jak należy poprawnie pisać. Jest więc właściwie tylko wykazem poprawnie napisanych wyrazów, nic bowiem nie mówi o ich znaczeniu i użyciu. Takie, a nie inne pisanie jest rzeczą utartego zwyczaju lub umowy. Zasadniczy sposób pisania dziedziczymy od wieków po naszych przodkach. W ten sposób utrzymuje się ciągłość rozwoju kulturalnego. Dorobek przodków służy nam stale, o tyle tylko zmieniony, ile tego wymagały konieczne potrzeby. Od stu przeszło lat przyjął się zwyczaj, że zmiany w pisowni przeprowadzają umyślnie w tym celu zwołane komisje znawców. Dwie ostatnie reformy ortografii przeprowadzała Polska Akademia Umiejętności. Pierwsza reforma w r. 1918 ujednostajniła w całej Polsce sposób pisania, bo w okresie rozbiorów nie był wszędzie jednakowy. Druga reforma w r. 1936 wprowadzała zmiany, które po 18 latach doświadczeń okazały się niezbędnymi. Drobne tylko poprawki i uzupełnienia przeprowadzono w r. 1957 pod patronatem Polskiej Akademii Nauk. [Obecnie instytucją opiniodaw-

czo-doradczą w sprawach używania języka polskiego jest Rada Języka Polskiego, zgodnie z ustawą Sejmu o języku polskim z 7 X 1999 r. Rada wyraża, w drodze uchwały, opinie o używaniu języka polskiego w działalności publicznej i obrocie prawnym oraz ustala zasady ortografii i interpunkcji języka polskiego.] Każda zmiana wywołuje protesty, każdy bowiem piszący człowiek ma swoje własne upodobania i sądy o tym, co dobre i wygodne, niejednakowo też się odnosi do przeszłości i dziedzictwa po niej. Ponadto mało kto ma przygotowanie do wydawania tych sądów, trzeźwość i zdolność obiektywnego, nie z własnego „widzi mi się” wynikającego patrzenia na rzeczy.

Ponieważ od ogólnych prawideł pisania istnieją szczegółowe wyjątki, ponieważ nie każdy może się szybko zorientować, jak do danego wyrazu zastosować ogólne правило, drukuje się zbiory poprawnie napisanych wyrazów, pod nazwą słowników ortograficznych. Obok oficjalnego słownika Polskiej Akademii Umiejętności, a obecnie Polskiej Akademii Nauk<sup>44</sup>, istnieje kilka słowników wraz z przepisami, przygotowanymi przez rozmaitych uczonych<sup>45</sup>. Aby jak najbardziej odjąć ludziom potrzebę zastanawiania się i możliwość nieporozumień, a co za tym idzie błędów, układa się słowniki bardzo duże, co z drugiej strony podraża koszt i nieco uboższym utrudnia nabycie. Mniejszy czy większy słownik ortograficzny powinien posiadać każdy, kto chce pisać poprawnie. Jest tak nie tylko u nas, ale w każdym kraju.

Z nazwy podobny, ale bez porównania mniej znany jest słownik ortoepiczny. Jak słownik ortograficzny uczy poprawnie pisać, tak ortoepiczny uczy poprawnego użycia i wymawiania wyrazów. Np. w jednych okolicach Polski pospolita jest wymowa *śmiali się, lali, siali*, w innych *śmieli się, leli, sieli*. Można więc mieć wątpliwości, który z tych sposobów mówienia jest poprawny. Słownik ortoepiczny poucza, że obie formy są równouprawnione i żadnej z nich nie należy tępić. Takich dopuszczalnych dwoistości jest więcej.

Można więc mówić *dres* albo *dresy*, *zemuć* i *zemuć*, *Odys* lub *Odyseusz* itd. W innych wypadkach wyraźnie się potępia pewne odmiany jako nieliterackie (np. *mięszuć* zamiast *mieszać*, *któs*, *cós* zamiast *ktoś*, *coś*). Dalej uczy słownik ortoepiczny, jak odmieniać trudniejsze wyrazy. Powie on np., że wprawdzie mówi się *ręce*, a nie *ręki*, ale *rękomą* lub *rękami*, nie zaś *ręcami*, jak się to zdarza. Powie on, że się wprawdzie mówi *sędzia*, *sędziego*, *sędziem*, ale *radca*, *radcy*, nie zaś *radca*, *radcego*, *radcem*.

Ukazało się dotąd kilka słowników służących poprawnej wymowie, ale najważniejszym i najobszerniejszym jest *Słownik ortoepiczny* S. Szobera (1937), wydany w r. 1948 i 1958 ponownie pod tytułem bardziej zrozumiałym: *Słownik poprawnej polszczyzny*. W roku 1971 ukazało się ósme wydanie tego słownika. O wyglądzie tego słownika niech pouczą przykłady. Pod hasłem *dzień* podana jest odmiana tego wyrazu, przy czym widzimy, że normalnie mówi się w tym dniu, ale we dnie i w nocy; normalnie te dnie lub dni, ale zawsze dwa, trzy, cztery dni. Potem następują przykłady ze znanych autorów, aby pokazać, że opinia słownika nie wisi w powietrzu. W dalszym odstępnie wyliczono kilkanaście bardziej używanych zwrotów, po których znowu następują przykłady z autorów.

Drugim przykładem niech będzie wyraz *Danek*. Autor na jego przykładzie pokazuje, jak należy odmieniać tego rodzaju nazwiska, że mianowicie nie są poprawne formy pana *Daneka*, *Danekowi*, pani *Danekowa* itp.

Pod hasłem *myśleć* dowiadujemy się, że dawniej mówiono także *myślić*, a nawet jeszcze dziś mówi się *obmyślić*, *wymyślić*, *zmyślić*. Dalej pokazana jest składnia tego wyrazu, a na końcu następują przykłady, jak się tym czasownikiem posługiwali wybitni nasi pisarze.

Widać z powyższych przykładów, że tego rodzaju słownik przyda się każdemu, kto pracuje piórem. Inna sprawa, że nawet doświadczony autor słownika może w niektórych wypadkach spro-

wadzić na manowce, ponieważ język jest tworem skomplikowanym, żywym, wiecznie zmiennym i bardzo trudno jest przeniknąć wszystkie jego tajemnice, a tym bardziej ująć w regułki. Nic dziwnego, że i Szoberowi wytykano tu i ówdzie pomyłki.

Pod tytułem *Słownik poprawnej polszczyzny PWN* ukazał się w r. 1973 pod red. W. Doroszewskiego i H. Kurkowskiej inny słownik o podobnym celu co słownik Szobera, jednakże inaczej, szczegółowej opracowany, zawiera też więcej, bo 20 tysięcy wyrazów. Informacje w nim zawarte dotyczą pisowni, wymowy, odmiany, związków frazeologicznych, jeżeli czytelnik mógłby mieć co do nich wątpliwości. Słownik ten doczekał się kilku przedruków.

Do słownika poprawnej polszczyzny zbliżone są nieco słowniki frazeologiczne i słowniki synonimów. Przydatne są one przede wszystkim tym, co chcą pisać nie tylko poprawnie, ale pięknie. Słownik synonimów podaje wyrazy bliskoznaczne, których można użyć, jeżeli się pewnego wyrazu nie chce używać zbyt często. Np. zamiast *koń* można użyć wyrazu *rumak*, *szkapa*, *chabeta*, zależnie od sytuacji. Albo zamiast *umrzeć* — *skonać*, *zgasnąć*, *zejść ze świata* itd. Słownik frazeologiczny podaje połączenia z różnymi wyrazami, w których ten czy ów wyraz może występować. Z dawniejszych prac należy wymienić biskupa A. Krasińskiego *Słownik synonimów polskich* (1885).

Ciekawą próbą jest dzieło R. Zawilińskiego *Dobór wyrazów. Słownik wyrazów bliskoznacznych i jednoznacznych...* (1926). Wyrazy bliskoznaczne (ponad 20 000) zebrane są tam najpierw w układzie rzeczowym, np. osobno zebrane są wyrazy odnoszące się w jakikolwiek sposób do czasu, osobno do przestrzeni, osobno do materii itd. Z daleka przypomina taki słownik owe stare wokabularze, np. Murmeliusza z XVI wieku, lecz gdy tam szło o dobranie odpowiedniego polskiego wyrazu do łacińskiego, to tu idzie o dobranie jak najstosowniejszego wyrazu dla naszej myśli. Autor tak sam w przedmowie określa swoje intencje: „Chcę np. komuś poświadczyć, że



spełnia swe obowiązki sumiennie i dobrze, a chcę to wyrazić krótko i dosadnie, nie opisywać kilku wyrazami. Przymiotnik *pilny* jest mi za blady; szukam tedy w tym słowniku wyrazu *pilny* w spisie abecedowym (na końcu), a znalazłszy go i przy nim liczbę, szukam w układzie rzeczowym wskazanej grupy, i znajdując cały szereg bliskoznacznych wyrazów, wybieram np. *gorliwy* lub *oddany*, wyrażając tym sposobem myśl swoją dokładniej”. Albo spróbujmy sami podobnej sztuki; np. nie chcemy o kimś powiedzieć pochlebca, bo to w danej sytuacji za słabe. Wykaz alfabetyczny odsyła nas od hasła *pochlebca* pod nr 935, gdzie czytamy: *pochlebca, chwalca, wychwalacz, lizus, zauszniak, podszeptowacz, szpieg, obtudnik, płaz, dworak, pomocnik, pasożyt, sykofant, przyjaciel udany, wujaszek całego świata*. A oto czynności, które taki jegomość wykonuje: *pochlebiać, ujmować, nadskakiwać, udawać, proch z nóg strzepywać, dać się użyć do wszystkiego, uginać się, ulegać, lizać się, zasługiwać się, słodkie słówka prawić, pochlebstwami tumanić, do swych celów wyzyskiwać* (nr 933 V). Jak widzimy, język nasz daje w tym zakresie piszącym wielkie możliwości, tym bardziej że Zawiliński jeszcze nie ogarnął wszystkiego, zwłaszcza nowych słów: *wazeliniarz, lizus, podlizywacz, przypochlebniś, nadskakiwacz, przymilać się, podlizywać się, podbijając bębenka*, nie mówiąc już o wyrazach niecenzuralnych.

Od trzydziestu z górą lat posiadamy nowy słownik synonimów, opracowany pod redakcją S. Skorupki, a noszący tytuł *Słownik wyrazów bliskoznacznych* (1. wyd. — 1957 r.). Ma on tę przewagę nad słownikiem Zawilińskiego, że informuje o obecnym stanie naszej synonimiki, a ponadto jest łatwiejszy w użyciu. Zawiliński dawał tylko listę synonimów, przypominał, że takie oto istnieją, ale nie informował o ich odcieniach znaczeniowych i zakresach używalności. Słownik Skorupki już w indeksie alfabetycznym notuje związki, w jakich występuje poszukiwany wyraz, a w części systematycznej podaje przykłady użycia. Np. „**Pochwała**: *ustna, przesadna, zasłużona pochwała. Pochwała na piśmie. Chciwy, żądny pochwał. Otrzymać*

*pochwałę. Rozpływać się, rozwodzić się w pochwałach nad kim, nad czym. Uznanie: Wyrazić komu uznanie. Doczekać się uznania. Wyróżnienie: Zasłużyć na wyróżnienie. Por. Pochlebstwo, Cześć, Zapłata*". Słownik zawiera około 30 000 wyrazów i zwrotów. S. Skorupka wydał też bardzo bogaty *Słownik frazeologiczny języka polskiego* (2 tomy, 1967–1968; 7. wyd. 1993). Poprzednikiem tego dzieła był *Słownik frazeologiczny* A. Krasnowolskiego (1898, IV wyd. poszerzone 1934).

Pouczenia o poprawnej wymowie polskich wyrazów pojawiały się, choć niesystematycznie, w słownikach poprawnej polszczyzny obok informacji gramatycznych i innych. W r. 1930 Towarzystwo Miłośników Języka Polskiego wydało po raz pierwszy *Prawidła poprawnej wymowy polskiej* Z. Klemensiewicza, wydawane później kilkanaście razy, a w 1988 r. w nieco poszerzonej postaci przez S. Urbańczyka. W broszurze tej znajduje się, jak w poprzednich wydaniach tylko kilkustronicowy słowniczek. Wydawało się, że każdy będzie mógł poprzestać na podanych zasadach wymowy, lecz widocznie tak nie było, skoro grupa językoznawców z Uniwersytetu Jagiellońskiego wydała *Słownik wymowy polskiej PWN* (1977). Nabywcy byli z pewnością zaskoczeni tym, że brzmienie wyrazów było zapisane w międzynarodowej transkrypcji fonetycznej. Posługuje się ona literami, które w Polsce są mało znane, a nadto w zastosowaniu do polszczyzny — mało praktyczne. To było przyczyną, że opracowano inny słownik, w którym wymowę zapisuje się prawie wyłącznie literami używanymi w polskich książkach<sup>46</sup>. Zapewne i ona będzie razić, ponieważ nie jesteśmy przyzwyczajeni do „ogłądania” swojej wymowy, tzn. wydaje się nam, że mówimy jak piszemy, a tymczasem tak nie jest. Więc chociaż ogromna liczba Polaków wymawia *u* w wyrazie *Austria* tak samo jak *ł* w wyrazie *małpa*, to wzdrygnie się widząc w słowniku poprawnej wymowy zapis *Alstrja* albo *stszelić/ szczszelić* zamiast *strzelić*, *chałas* zamiast *hałas*, *trompka* zamiast *trąbka* itd. Z początku te zapisy mogą nawet

zakłócać nawyki poprawnego pisania, co się zdarza także przy szkolnej nauce fonetyki opisowej.

Jako modną nowość warto zanotować tzw. słowniki a tergo, albo „odwrócone”, tzn. układające wyrazy alfabetycznie, ale nie według początkowych, lecz według końcowych liter. Są to tylko suche zapisy wyrazów, nie podające znaczeń. Mają one wielkie znaczenie dla badań nad budową wyrazów, w szczególności dla badań nad przyrostkami. Podobne do nich są słowniki rymów, bo i w nich ważny jest koniec wyrazu.

W Polsce wydano dotąd dwa większe słowniki odwrócone: *Indeks a tergo do Słownika języka polskiego* S. B. Lindego (pod red. W. Doroszewskiego, 1965) i *Indeks a tergo do Słownika języka polskiego* pod red. W. Doroszewskiego (1973). W. Kuraszkiewicz wydał *Index a tergo do Słownika Mączyńskiego* (1983).

Mogło kogoś zdziwić, że dotąd nie było mowy o „słownikach” encyklopedycznych, czyli konwersacyjnych, albo krótko mówiąc — encyklopediach. Nie są to jednak opracowania, które by należało stawiać na równi z omawianymi tu słownikami. Encyklopedie mają uwagę zwróconą na rzeczy, a nie na wyrazy. Encyklopedia pod hasłem *oko* zajmuje się budową oka, jego funkcjonowaniem, najważniejszymi chorobami itd. Prawdziwy słownik tym wszystkim się nie interesuje, jemu chodzi o to, jakie właściwości ma wyraz *oko*: co znaczy (np. też *oko na rosale*), jak się odmienia, z jakimi wyrazami się łączy, tworząc utarte zwroty, np. *morskie oko*, *ma na tę sprawę oko*, *stało się to w moich oczach* itp. Encyklopedia jest więc uporządkowanym alfabetycznie (albo według innego systemu) zbiorem wiadomości o rzeczach w szerokim rozumieniu tego słowa, słownik zaś w ścisłym tego słowa znaczeniu zbiorem wiadomości o wyrazach<sup>47</sup>. Również tylko z nazwy i z układu alfabetycznego są słownikami słowniki biograficzne, słowniki autorów itp., podające życiorysy i przedstawiające działalność pewnych ludzi.

## II. ENCYKLOPEDIE

Nie tylko słowniki, także encyklopedie są bardzo starym wynalazkiem ludzkości. Jednym z najstarszych twórców encyklopedii, a zarazem najwybitniejszym był grecki uczony Arystoteles (384–322). W kilku swoich dziełach ujął on całą ówczesną wiedzę o świecie zewnętrznym, psychologię, nauki o społeczeństwie, filozofię wraz z logiką. Powstawało ich później wiele, dopóki trwała cywilizacja antyczna, grecko-łacińska. Większa część tego dorobku zaginęła wśród zniszczeń podczas wędrówki ludów i po upadku państwa rzymskiego. Niektóre dzieła przetłumaczyli na swój język uczeni arabscy w czasach rozkwitu swojej cywilizacji. Gdy zginął oryginał grecki, przekłady te mogły go zastąpić.

Dla kultury europejskiej szczególnie cennym było dzieło Izydora z Sewilli noszące tytuł *Originum sive Etymologiarum libri* (Księgi początków czyli nauki o źródłosłowach) (przed 630 r.). Innym sławnym encyklopedystą był Wincenty z Beauvais, autor dzieła pt. *Specula* (Zwierciadła, XIII w.). Za encyklopedię można uważać również sławne dzieło św. Tomasza z Akwinu *Summa theologiae* (XIII w.). Do encyklopedii zalicza się *Novum Organon scientiarum* (Nowe narzędzie nauk) Bacona z Verulanum (XVI w.).

Przełomowe znaczenie miała wielotomowa encyklopedia, której głównymi autorami byli francuscy uczeni, J. d'Alembert i D. Diderot: *Encyclopédie ou Dictionnaire raisonné des sciences, des arts et des métiers* (Encyklopedia czyli słownik rozumowany nauk, sztuk i rzemiosł), wydawana z początku w Paryżu (28 tomów w latach 1757–1772), a potem w Amsterdamie (7 tomów dodatków w latach 1776–1777). Przyczyniła się ona ogromnie do rozpo-

wszechnienia w Europie idei Oświecenia i stała się matką licznych encyklopedii. Np. kilka lat później zaczęła wychodzić, również w Paryżu, *Encyclopédie méthodique*, która była wydawana w latach 1781–1832 i osiągnęła liczbę 201 tomów!

Każda encyklopedia uwzględnia przede wszystkim sprawy własnego kraju, w różnym zaś stopniu sprawy krajów i narodów innych, zależnie od tego, z którym ojczyznę encyklopedii łączyły bliższe stosunki, albo który odegrał w dziejach ważniejszą rolę. Ponieważ Polska nie istniała w 19. wieku jako osobne państwo, wobec tego w cudzych encyklopediach jej sprawy znajdują mało miejsca, a ich oświetlenie często jest nieżyczliwe i błędne; wybitni Polacy mogą występować jako Rosjanie lub Niemcy.

Najtrudniejszym zadaniem redaktorów encyklopedii jest sporządzenie listy haseł, ich wzajemne powiązanie odsyłaczami i kontrola rzeczowa (np. nazwisk, dat itp.). Druga trudność to pozyskanie kompetentnych, punktualnych, zwięźle piszących autorów. Osobny rodzaj niebezpieczeństw stanowią hasła osobowe, zwłaszcza gdy chodzi o osoby żyjące lub zmarłe, lecz cieszące się fanatycznymi wielbicielami. Uchybienia w doborze haseł, w ich długości, naruszenie miłości własnej ludzi zainteresowanych sposobem przedstawienia pewnych haseł musi narazić redakcję na utratę zaufania nabywców. S. Lam przedstawił bardzo interesująco pracę nad encyklopediami w ogóle a polskimi w szczególności<sup>48</sup>.

Informacji ogólnych trzeba szukać w encyklopediach powszechnych, raczej wielkich niż małych, małe bowiem są przeznaczone głównie dla nabywców prywatnych, więc mają mało haseł, a wiadomości są w nich bardzo skąpe. Wiadomości o sprawach francuskich najlepiej szukać we francuskich encyklopediach i podobnie: niemieckich w niemieckich, angielskich — w encyklopediach angielskich, polskich — w polskich. Oczywiście, może być interesujące i pouczające poczytać, co o nas piszą obce encyklopedie, jak one nasze sprawy lub ludzi widzą. Jeżeli komuś chodzi o bardziej



szczegółowe informacje, powinien ich szukać nie w ogólnych encyklopediach lecz w specjalnych. Więc informacje z dziedziny fizyki w encyklopediach fizyki, rolniczych w encyklopediach rolniczych, kościelnych — również w kościelnych encyklopediach. Jest więc wskazane, aby mieć u siebie encyklopedię dotyczącą tego zawodu, tej specjalności, w której pracujemy. O dawnych ludziach i sprawach warto nieraz szukać informacji w encyklopediach chronologicznie dawnym sprawom bliskich.

Bogate, ludne kraje szczytują się licznymi, różnorodnymi encyklopediami. Z francuskich warto wymienić choć kilka, jak *Grand dictionnaire Larousse'a* w 17 tomach (1864–1890), *La Grande Encyclopédie* w 31 tomach (1885–1901), *Encyclopédie Larousse méthodique* (1954–1966) w 10 tomach z jednym tomem dodatków (1968), *Dictionnaire encyclopédique Quillet* w 10 tomach (1975), *Dictionnaire général des sciences humaines* firmy G. Thines et A. Lempereur (I wyd. w r. 1975, II wyd. w r. 1984). Ostatnia z nich przedstawia po kolei nauki o człowieku: biologię, kryminologię, estetykę, metrologię, fotometrię, filozofię, psychologię, język, antropologię, demografię, politykę, socjologię. Firma „Larousse” jest szeroko znana, m.in. w Polsce, dzięki licznym i dobrym encyklopediom, jak *Nouveau Larousse illustré* (7 tomów, 1897–1904), *Larousse du XX siècle* (6 tomów, 1927–1933, dodatek 1937), *Petit Larousse illustré* (1906), *Nouveau Larousse illustré* (wznawiany od r. 1924), *Grand Larousse encyclopédique* (10 tomów, 1960–1965). Larousse wydawał także encyklopedie o ograniczonej tematyce, jak *Larousse classique, commerciale, de la musique, pour tous*.

Nie mniej popularne jak francuskie były u nas encyklopedie niemieckie, a to z powodu rozpowszechnionej w Polsce znajomości języka niemieckiego. Do najbardziej znanych należały wydawnictwa Brockhousa z Lipska, np. *Allgemeine Enzyklopädie der Wissenschaften und Künste* (od 1818) w 167 tomach, albo *Konversations Lexikon* w licznych wydaniach. Względami czytelników

my w r. 1781, przedruk w 1830). Ideowo nawiązywała ona do encyklopedii d'Alemberta i Diderota. Była zresztą słaba. Wnet po niej wyszedł *Nowy dykcjonarz historyczny* (1783–1797). Klementyna z Tańskich Hoffmanowa, znana kiedyś pisarka dla młodzieży, wydała *Encyklopedię doręczną czyli zbiór ciekawych wiadomości dla panien* (1849, wyd. 2 w r. 1876), a nieco wcześniej J. Szczepański wydał we Lwowie *Encyklopedię dla dzieci* (1842). Szperając w bibliografiach można by zapewne znaleźć jeszcze jedną czy drugą encyklopedię tego rodzaju, jak np. *Encyklopedia do krajoznawstwa Galicji* A. Schneidra (1871–1874).

Pierwszą naszą poważną encyklopedię wydał księgarz warszawski Szymon Orgelbrand, oczywiście z pomocą kilku uczonych, m.in. F. H. Lewestama, F. M. Sobieszczańskiego, J. Pankiewicza, L. Rogalskiego i K. W. Wójcickiego. Była to *Encyklopedia powszechna*, licząca 28 tomów (1859–1868). Jest to znakomite źródło informacji o kulturze Polski pierwszej połowy 19. wieku i Polski przedrozbiorowej. Nic dziwnego, że encyklopedię wydano fotostatycznie w latach 1984–1985. Klęska powstania styczniowego i późniejsze represje zahamowały na dłuższy czas ambitniejsze poczynania w dziedzinie kultury. Ta sama firma wydała w końcu nową *Encyklopedię powszechną ilustrowaną z mapami* (55 tomów z suplementami włącznie, 1898–1914). Nie została ona ukończona; stanęła na haśle *Patroklos*. Jest to dzieło znakomite, hasła zwykle obszerne, niekiedy mają wygląd sporych artykułów naukowych. Do komitetu redakcyjnego wchodził wybitni uczeni, jak P. Chmielowski, J. Kasprówicz, T. Korzon, S. Kramsztyk, W. Smoleński. Encyklopedia bywa niekiedy nazywana encyklopedią Sikorskiego od nazwiska wydawcy.

Na przełomie 19. i 20. wieku wyszło kilka encyklopedii pomniejszych, jak *Encyklopedia handlowa* Orgelbranda (2 tomy, 1914), *Encyklopedia humoru*, zawierająca najcelniejsze utwory humoru (1890, 4 tomy, redakcji M. Wołowskiego) i *Encyklopedia humoru i satyry polskiej* A. Orłowskiego (1914).

Bardzo ważnym wydawnictwem była *Encyklopedia kościelna*, wydawana przez ks. M. Nowodworskiego; zaczęta w r. 1873 doszła w r. 1913 do tomu 32.

Podobnie długo się ciągnął druk *Encyklopedii wychowawczej* pod red. J. T. Lubomirskiego (1881-1922, 9 tomów). Wybitny etnograf, Zygmunt Gloger, wydał *Encyklopedię staropolską ilustrowaną* (4 tomy, 1900-1903). Jest to świetny przewodnik po kulturze polskiej od jej początków do końca 19. wieku; należyte miejsce znalazła w niej kultura ludowa. Podobnie jak pierwsza encyklopedia Orgelbranda, i ta została wydana fotostatycznie w 1958 roku (w dwóch tomach).

Nową przerwę w produkowaniu polskich encyklopedii wywołała wojna 1914-1918 roku, a przedłużyła ją wojna polsko-rosyjska (1919-1920) i wyniszczenie odrodzonego polskiego państwa. Encyklopedie zaczęły się więc ukazywać koło 1930 r., w dziesięć lat po ukończeniu wojen i szalejącej inflacji. Tylko jedna encyklopedia wyszła w Krakowie: była nią *Wielka Ilustrowana encyklopedia powszechna* Gutenberga (18 tomów, 4 tomy dodatków, 1929-1938). Wcześniej *Ilustrowaną encyklopedię* wydała bardzo znana firma Trzaski, Ewerta i Michalskiego (5 tomów, 1 tom dodatków, pod red. S. Lama, 1927-1934). Osiągnęła ona znacznie wyższy poziom od „Gutenberga” tak naukowo, jak ilustracyjnie. Ta sama firma, pod tą samą redakcją wydała *Encyklopedię XX wieku* (1936-1937). W tym też czasie ukazała się *Ilustrowana encyklopedia powszechna* pod redakcją M. J. Wachtla (wyd. II, 2 tomy, 1937). Wszystko to były encyklopedie alfabetyczne. Nagłe pojawienie się kilku encyklopedii dowodzi, że istniało na nie wielkie zapotrzebowanie i że dla wydawców były dobrym interesem; pierwszy krok zrobiła firma Trzaski, Ewerta i Michalskiego.

Oprócz encyklopedii alfabetycznych ukazywały się inne, w układzie systematycznym, ale nie powszechne, lecz specjalne, tematycznie ograniczone. Do tego zespółu należy *Wiedza o Polsce* (1931-

–1932). Liczy ona 3 tomy (pierwszy z nich jest jednak podwójny). Tom I zajmuje się prehistorią, słowiańskimi korzeniami i wczesną historią Polski, t. I A — historią nowszą, ustrojem współczesnym, gospodarką, heraldyką i numizmatyką. Tom II omawia nasz język, literaturę i całość kultury narodowej, tom III zaś — geografii Polski, etnografię, kulturę i sztukę ludową. Jest to więc doskonały informator, zwłaszcza że autorami byli wybitni uczeni, jak J. Czekanowski, W. Antoniewicz, S. J. Bystroń. Wydawcami byli Trzaska, Ewert i Michalski. Dawna polska szlachta wciąż budziła zainteresowanie, toteż wydano *Polską encyklopedię szlachecką* aż w 12 tomach (1935–1938). Również herbarze możemy uważać za encyklopedie. Przede wszystkim szkole miała służyć nie ukończona encyklopedia *Świat i życie*, której patronował Z. Łempicki (4 tomy i 1 tom dodatków, Lwów 1933–1939). Podobny cel miała na oku *Encyklopedia wychowania*, wychodząca pod opieką S. Łempickiego (3 tomy, 1933–1937). Żywe zainteresowanie psychologią głębi Freuda i seksem doprowadziło do wydania *Encyklopedii wiedzy seksualnej*; opracował ją M. Markuse przy współudziale samego Freuda, a z II wydania przełożył na język polski i uzupełnił S. Hilgier (4 tomy, 1937).

Wielkim osiągnięciem było ukazanie się w latach 1937 do 1939 *Encyklopedii staropolskiej* A. Brücknera. Jest to rzadki wypadek, że dzieło wymagające tak olbrzymiej wiedzy zostało napisane przez jednego człowieka. Tu i ówdzie tylko uzupełniali lub korygowali wielbiciel autorów: J. S. Bystroń, S. Kot; ilustracje — bardzo liczne — są zasługą K. Estreichera młodszego. Ze strony spółki Trzaski, Ewerta i Michalskiego dbał o wygląd piękny encyklopedii S. Lam. Według jego informacji, encyklopedia została napisana w ciągu roku, lecz kontrola rzeczowa, uzupełnienia i adiustacja techniczna zajęły trzy lata.

Encyklopedie polskie wydawane w latach 1930–1939 były co do swojej formy przeważnie skromne. Wyposażeniem górowały wydawnictwa Trzaski, Ewerta i Michalskiego, a obok nich *Wiedza*

o Polsce. W innych ubogie wyposażenie w ilustracje, niewysoka jakość papieru i czcionki świadczą zarówno o skromnych środkach wydawców, jak i nabywców.

Sytuacja wydawnicza zmieniła się gruntownie po II wojnie światowej. Zniknęły wydawnictwa prywatne, a encyklopedie stały się, praktycznie biorąc, niepisany monopol Państwowego Wydawnictwa Naukowego. Trzeba jednak przyznać, że ta instytucja włożyła wiele zapału i trudu, aby encyklopedie postawić na dobrym poziomie i po stronie merytorycznej, naukowej, i po stronie zewnętrznej. Zaczęto od 1-tomowej *Małej Encyklopedii Powszechnej PWN* (1959, por. wydanie z 1997) i *Encyklopedii popularnej A-Z* (1962, wyd. 28, 1998), wielokrotnie wznawianych i modernizowanych. Następnie wypuszczono w świat 4-tomową (plus tom dodatków) *Encyklopedię powszechną PWN* (1973–1977, II wyd. 1983–1987, III wyd. 1984-1987).

Szczytowym osiągnięciem jest dotąd *Wielka encyklopedia powszechna PWN* (12 tomów i 1 tom dodatków, 1962–1970). Liczba haseł wynosi blisko 80 000. Subskrypcję zgłosiło 178 tysięcy osób. Do współpracy wciągnięto wielką liczbę uczonych, czy to jako członków Rady Naukowej, czy to Komitetu Redakcyjnego, Kolegium Redakcyjnego, autorów wreszcie i recenzentów. Autorów było ok. 2000 i ok. 1000 recenzentów. Mimo to nie dało się ustrzec błędów druku lub rzeczowych, na co zwrócili uwagę czytelnicy. Nadto encyklopedia stała się w pewnym momencie przedmiotem przesadnej krytyki politycznej. Zarzucono jej niedostateczne przedstawienie zbrodni hitlerowskich, ruchu oporu, także niedostateczne uwzględnienie ideologii socjalistycznej i dorobku Polski Ludowej. Zaspokojeniu żądań i poprawie błędów służyć ma właśnie 13 tom. Zarówno swoje uchybienia, jak i zakres poprawek opisuje redakcja encyklopedii w przedmowie do tomu suplementów. [W latach 1995–1997 ukazała się *Nowa encyklopedia powszechna PWN* w sześciu tomach.]



Sprawom polskim poświęcona jest *Księga Polska. Zarys encyklopedyczny*, wydana również nakładem PWN na XXX-lecie Polski Ludowej. Dawniejsza historia ukazana jest w postaci krótkiego szkicu, szczegółowo opracowano dzieje od 1918 roku. Drugie wydanie wyszło w 1979. Wyposażenie w ilustracje, mapy itp. jest bardzo bogate.

Wychodzi wiele encyklopedii specjalnych. Wydawnictwo Wiedza Powszechna ogłosiło kilkunastotomową serię „małych słowników”, m.in. *Mały słownik historii Polski*, *Mały słownik religiologiczny*, *kultury antycznej*, *pisarzy świata*, *pisarzy narodów ZSRR*, *biologiczny*, *chemiczny* itd. Są to popularnie opracowane encyklopedie przeznaczone przede wszystkim dla uczącej się młodzieży. Możemy tu omówić tylko drobną część, przede wszystkim z zakresu humanistyki. Staraniem zasłużonego Państwowego Wydawnictwa Naukowego wyszła piękna 2-tomowa *Literatura polska. Przewodnik encyklopedyczny* (1984–1985). Zawiera ona ok. 5000 haseł osobowych i przedmiotowych (tj. o poszczególnych dziełach, o prądach literackich, gatunkach poezji i prozy, wersologii, środkach stylistycznych, o życiu literackim i wydawniczym w ważniejszych miastach, jak Warszawa i Kraków). Na końcu 2. tomu znajduje się indeks osób, wspomnianych w encyklopedii. Układ haseł jest alfabetyczny; pod hasłami podano nazwiska ich autorów. Encyklopedia spotkała się z krytyką, przeważnie wychodzącą z kół literackich; szło głównie o dobór współczesnych autorów. Wobec tego redakcja wydała *Uzupełnienia do wydania I* wraz z wykazem błędów druku i rzeczowych poprawek. Krytyka była przesadna i nie zmieniła faktu, że mamy do czynienia z dziełem wyjątkowo cennym.

Dużo mniejsza i skromniejsza jest *Encyklopedia wiedzy o języku polskim*, opracowana przez siedmiu językoznawców pod red. S. Urbańczyka (1 tom, r. 1978), wydana przez Ossolineum. Hasła (1434) dotyczą teorii języka, historii języka polskiego, gramatyki współczesnego i dawnego polskiego języka, jego kultury, gwar ludowych i onomastyki; encyklopedia zawiera też krótkie życiorysy wielu pol-

skich językoznawców. Poziom wykładu jest przystępny, adresowany do nauczycieli szkół podstawowych i średnich oraz do studentów szkół wyższych. Oprócz haseł ułożonych alfabetycznie w książce znajduje się wybór literatury przedmiotu i wykaz haseł w układzie systematycznym (przedmiotowym).

[Ukazało się już drugie ( w 1991 r.) wydanie tej encyklopedii pod nieco zmienionym tytułem: *Encyklopedia języka polskiego*, które zostało uzupełnione o rozmaite dodatki, m.in. z zakresu językoznawstwa ogólnego, kultury języka, psychologii i socjologii języka; został też w niej powiększony dział „Biogramy”. Do druku jest już przygotowywane trzecie jej wydanie (1999 r.)

W r. 1995 ukazała się też jednotomowa *Encyklopedia językoznawstwa ogólnego* pod red. K. Polańskiego; zawiera ona hasła m.in. z zakresu fonetyki i fonologii, morfologii i morfonologii, fleksji, słowotwórstwa, składni, leksykologii i leksykografii, semantyki, gramatyki porównawczej, dialektologii, onomastyki, kultury języka, stylistyki, zaburzeń mowy. Artykuły hasłowe informują także o wybitnych językoznawcach oraz o językach świata. Objętościowo ta encyklopedia jest porównywalna z omówioną poprzednio *Encyklopedią języka polskiego*. Zamieszczona w niej obszerna bibliografia odsyła do opracowań szczegółowych<sup>49</sup>.]

Wiele uwagi poświęca się współcześnie oświacie dorosłych. Jej problemy objaśnia *Encyklopedia oświaty i kultury dorosłych* pod red. K. Wojciechowskiego (1986). Miłośnicy książki otrzymali *Encyklopedię wiedzy o książce*, zredagowaną przez znakomitego znawcę starej książki A. Birkenmajera i in. (1971). Podobnym kręgom służy *Encyklopedia wiedzy o prasie* pod red. J. Maślanki (1976). Na wielką skalę zakrojona jest *Encyklopedia muzyczna PWM*; wyszło dotąd tylko 5 tomów części biograficznej (od A do K, 1979[–1997]); zawierają one życiorysy ludzi związanych z muzyką: kompozytorów, wykonawców, teoretyków muzyki, krytyków. Z podobną powolnością postępuje druk *Encyklopedii katolickiej* pod red. F. Gryglewicza i in. (7 tomów: A–Jędrzejów, 1973[–1997]).

Pięknym osiągnięciem wielkiego zespołu polskich uczonych jest *Słownik starożytności słowiańskich* [(7 tomów i suplement, 1961–1996)], dzieło poświęcone słowiańskiej (w tym oczywiście i polskiej) kulturze średniowiecznej (po 1250 r.). Artykuły, uporządkowane alfabetycznie według brzmienia haseł, są wyposażone w bibliografię i często w ilustracje. Dzieło to — jeśli chodzi o sprawy słowiańskie — nie ma równego sobie. Jego wydanie jest zasługą Instytutu Zachodniego w Poznaniu i Instytutu Słowianoznawstwa PAN; z grona inicjatorów trzeba wyróżnić Z. Wojciechowskiego i T. Lehra-Spławińskiego.

Rodzajem encyklopedii jest *Polski słownik biograficzny*, którego druk rozpoczęty w r. 1935 pod red. W. Konopczyńskiego, kontynuował E. Rostworowski, obecnie (1999 r.) funkcję redaktora pełni H. Markiewicz. Wyszło dotąd 38 tomów z nazwiskami od litery *A* do *Sk*-. W słowniku zamieszcza się wyłącznie życiorysy ludzi zmarłych; z biegiem czasu ludzi tych przybywa, toteż coraz jaskrawsza jest dysproporcja między tomami początkowymi a końcowymi i będzie stale rósł. Opracowania są bardzo staranne, ich lektura może sprawiać przyjemność każdemu miłośnikowi historii i ciekawemu różnorodności losów ludzkich.

Prawie każda gałąź nauki i techniki rozporządza już swoją polską encyklopedią, a niektóre mają ich kilka. W sumie jest ich bardzo dużo i nie będą tu ani omawiane, ani wymieniane w bibliografii, ponieważ ta książeczka przeznaczona jest dla humanistów filologów.

Warto jeszcze zwrócić uwagę, że granica między encyklopedią rzeczową a podręcznikiem może być zatarta, tu i tam bowiem układ powinien być systematyczny, tu i tam wykład ma być zwięzłą sumą wiedzy na wybranym odcinku. Przykładem może być *Encyklopedia polska* (Polskiej) Akademii Umiejętności, której pewne tomy (może nawet ich większość) to nic innego, jak podręczniki na poziomie uniwersyteckim. Układ systematyczny ma też wspomniana wyżej encyklopedia *Wiedza o Polsce* oraz *Świat i życie*.